

CENA: 4 ZŁ

NR 79/80 MAJ/SIERPIEŃ 2010

ALEJE 3

DWUMIESIĘCZNIK KULTURALNY CZĘSTOCHOWY

Jacek
Dehnel

- str. 32

„Światy podejrzone”
Jacka Pałuchy

- str. 8

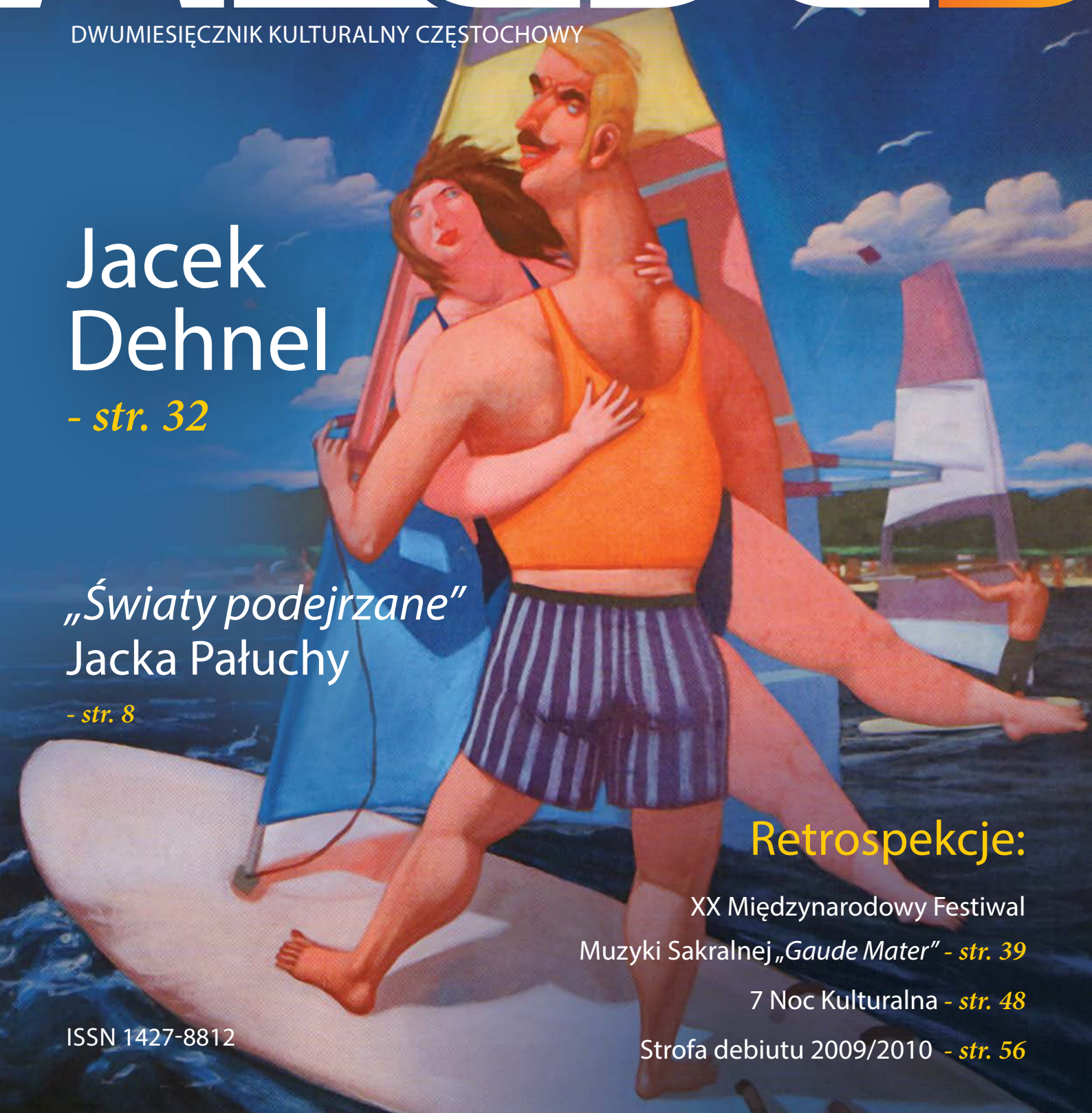
Retrospekcje:

XX Międzynarodowy Festiwal
Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” - str. 39

7 Noc Kulturalna - str. 48

Strofa debiutu 2009/2010 - str. 56

ISSN 1427-8812



SPIS TREŚCI

OD REDAKCJI	03
ALEJAMI NA SKRÓTY	04
KONDUKTOROWNIA	06
PAŁUCHA	08
TRZECIE OKO	10
BAGGERSI	11
TEATR NIEZALEŻNY	12
TRIENNALE – FOTOGRAFIA	17
DŁUBAK	20
CARA	25
MŁODA ESTRADA	26
ANDRZEJEWSKA	28
DEHNEL - EKRAN KONTROLNY	32
GAUDE MATER	39
GRZEGORZEWSKA	45
NOC KULTURALNA	48
STROFA DEBIUTU	56
WIERNY	66
HARCERSKA PRZYGODA	70
KULTURA / HISTORIA	71
ESTETYKA MIASTA	78

ALEJE3
Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

Pismo finansowane Przez Urząd Miasta Częstochowy

Wydawca:
Biblioteka Publiczna
im. dr. Wł. Biegańskiego w Częstochowie
Al. Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
Tel. 34 360-56-28
www.biblioteka.czyst.pl

Redakcja:
Al. Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
Tel. 34 360-56-28
aleje3@op.pl

Redaktor Naczelny:
Agnieszka Batorek
Tel. 691 567 962
abatorek@interia.pl

Opracowanie graficzne:
Tomasz Korzeniowski

Ilustracje:
Grzegorz Nita

Skład i łamanie:
Krzysztof Klaus

Druk i oprawa:
Sowa – druk na życzenie
www.sowadruk.pl
tel. 22 431-81-40

Nakład 400 egz.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do skrótów, adiacji, redagowania nadsyłanych tekstów.

Okładka: Jacek Pałucha „Szalony ślizg”, akryl, płótno



Jacek Pałucha
„Kontrola drogowa”
akryl, płótno



Jacek Pałucha

Urodził się w Częstochowie w roku 1966. Studia na wydziale malarstwa warszawskiej ASP rozpoczął w pracowni prof. Ludwika Maciąga w 1987 roku i ukończył w pracowni prof. Wiesława Szamborskiego w 1993 roku. Był założycielem i liderem zespołów: *Formacja Nieżywych Schabuff* (z okresu 1983 - 88 do tzw. zielonej płyty z przebojem „Klub wesołego szampana” czyli chciałabym, chciała...), *Furmanka* oraz *Superpałka i Najeżdźcy z Kosmosu*. Zajmował się też projektowaniem okładek na płyty swoje i kolegów, między innymi: *Graal*, *Les VRP*, „*Vacances prolongee*”, *Kult*, „*Spokojnie*”. Grał jedną z głównych ról w filmie Łukasza Wylężałka pt. „*Balanga*”. Obecnie na co dzień zajmuje się malarstwem sztalugowym, ogródkiem i filozofowaniem.

[źródło: www.palucha.pl]

„Podejrzone światy” w obrazach Jacka Pałuchy

» STR. 08

Od redakcji:

Na początku czerwca, przy okazji Festiwalu Kultury Niezależnej spotkaliśmy się, za sprawą Anity Grobelak, w Teatrze from Poland, by podyskutować o kondycji kultury w naszym mieście (ze szczególnym naciskiem na kulturę niezależną). Animatorzy, dziennikarze, artyści. Z ramienia Urzędu Miasta stawił się tylko Piotr „Dziker” Chrząstek, który właściwie też jest bardziej animatorem kultury niż urzędnikiem. W tym kameralnym gronie toczyła się gorąca dyskusja o małym zainteresowaniu kulturą ze strony odbiorców, o problemach finansowych, o niedostatecznej woli współpracy między organizatorami i o słabej promocji. Pomysłów i chęci działania nam nie brakuje, jednak w efekcie licznych niepowodzeń rodzi się frustracja i zniechęcenie. We współczesnym świecie animator kultury musi być też dobrym menadżerem i specjalistą od *public relations*. Trudno liczyć na jakąś pomoc z zewnątrz, bo na kulturze zarabia się rzadko, jeśli w ogóle. Poza gronem pasjonatów z poczuciem misji, chyba nikogo jej kondycja nie interesuje, o czym może świadczyć niska frekwencja podczas debaty.

Częstochowa jest trochę jak Kraina Czarów z powieści Lewisa Carrolla - wszystko toczy się tu w oparach absurdu, zawsze inaczej niż powinno i trudno cokolwiek zaplanować. Często udają się akcje spontaniczne, niskobudżetowe, promowane drogą „poczty pantoflowej”, a duże, precyzyjnie zaplanowane imprezy, w które ktoś zainwestował sporo czasu i pieniędzy kończą się fiaskiem. Są w naszym mieście wyższe uczelnie, a jednak kultura studencka prawie nie istnieje. Trudno jednoznacznie określić statystycznego odbiorcę kultury, by trafnie zaadresować projekt. Wszystko sprowadza się do tego, że życie kulturalne Częstochowy organizuje garstka zapaleńców dla garstki koneserów.

Dyskusja miała jednak pewien pozytywny wydźwięk. Mimo wspomnianego zniechęcenia i frustracji, nikt z zebranych nie deklarował rezygnacji z dalszego działania. Może nie udało się nam dojść do bardziej konstruktywnych wniosków, ani nakreślić konkretnego planu, ale wbrew wszelkim przeciwnościom losu - nie odpuszczamy. Idąc za myślą uśmiechniętego Kota z Cheshire trzeba jasno stwierdzić: wszyscy jesteście obłąkani. Inaczej by nas tu nie było.

Oddajemy zatem w Państwa ręce kolejny, tym razem podwójny numer „Alej3”, który najlepiej świadczy o tym, że w mieście dzieje się coraz więcej i coraz ciekawiej. Korzystajmy z tego zanim artyści i organizatorzy do reszty stracą zapał.

Redaktor Naczelna
Agnieszka Batorek

Tu można pytać o „Aleje3”: Cafe29 (Al. NMP 29), Cafe Belg (Al. NMP 32), Cafe Montmartre (Al. NMP 31), Księgarnia „Tania Książka” (ul. Focha 27/29), Biblioteka Publiczna im. dr. Wł. Biegańskiego (Al. NMP 22).

ALEJAMI
NA SKRÓTY

„Kobiety i Żywioly” w Kusietach

Dwudziestego ósmego maja w Kusietach, miało miejsce niecodzienne wydarzenie. U znanego i cenionego literata Andrzeja Kalinina zebrało się zacne grono przyjaciół i znajomych, wielbicieli jego talentu, ale przede wszystkim osób ciekawych galerii obrazów jego przyjaciółki Ireny Młynarczyk. Kalinin wpadł na pomysł stworzenia stałej galerii w stuletniej chacie z bali, która mieści się na jego podwórku. Chata została odmalowana i ozdobiona pamiątkami, zostało jednak sporo miejsca do zagospodarowania czymś wyjątkowym i cennym. Zaszczycu umieszczenia tam swoich dzieł dostąpiła Irena Młynarczyk, absolwentka Liceum Plastycznego i Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Częstochowie, nauczycielka plastyki w szkole podstawowej i gimnazjum, z którą gospodarza łączą więzy długoletniej przyjaźni jak i szczery zachwyt nad jej talentem plastycznym. Od lat rodzina i znajomi zachęcali ją by zaprezentowała swoje obrazy szerszemu gronu odbiorców. Tym razem plany wprowadzono w życie i podjęto decyzję o zorganizowaniu wernisażu. Impreza nie ograniczyła się do samej wystawy. Wrażenia można było odbierać wielozmysłowo. Dla gości zaśpiewała Marta Kiepusa, kabareciarz Marek Krzystański przygotował skecze, Seweryn Lewandowski zasypał gości fraszkami, natomiast gospodarz wraz z autorką prac częstowali przybyłych słynną „Kalininówką” i smacznymi przekąskami. Dopiero po takim wstępie, goście przekroczyli próg chałupy, by podziwiać ekspozycję, na którą składały się pejzaże morskie inspirowane surową i piękną skandynawską przyrodą oraz wizerunki kobiet-muz, będące wyrazem

fascynacji doskonałością kobiecego ciała i muzyki. Obrazy zostały wykonane techniką pasteli, są zwiewne, zawołowane i świetliste, delikatne, często niedopowiedziane i elegancko oprawione. Goście byli wyraźnie zauroczeni. Był to pierwszy ciepły wieczór tego roku, w dodatku pełny artystycznych wrażeń.

Wystawę można zwiedzać po uprzednim umówieniu się z Andrzejem Kalininem.

IM

Roztańczony „Dzwonnik”

W czerwcu na scenie Klubu Politechnik zagościł Teatr Tańca Włodzimierza Kucy z premierową inscenizacją „Dzwonnik”, na podstawie powieści Wiktora Hugo „Katedra Marii Panny w Paryżu”. Po raz kolejny częstochowscy tancerze zaserwowali nam oszałamiające widowisko. Oszczędność kostiumów i rekwizytów twórcy spektaklu nadrobili pomysłowością, czego przykładem mogą być fluorescencyjne elementy żebraczych strojów, które doskonale „zagrały” w scenie zbiorowej otwierającej przedstawienie czy białe kostiumy ożywionych maskaronów świecące w ultrafiolecie. Wrażenie robiła też monumentalna, prosta a zarazem funkcjonalna scenografia autorstwa Mateusza Kucy. Tancerze zmierzili się z niełatwym zadaniem aktorskim, bo przecież wcielali się w postaci złożone, targane sprzecznymi uczuciami i namiętnościami. Zdecydowanie najlepiej z tego zadania wywiązał się Bazyli Ogiński, odtwórca roli Księdza Frolo demonicznego, wewnątrznie rozdartego między grzeszną miłością a obowiązkiem wobec Boga. Doskonale wypadła również Ewa Kocka w roli Esmeraldy i Filip Kowal jako Quasimodo, a także Anna Hampelska wcielająca się w Króla Nędzarzy. Najważniejszy w spektaklu był oczywiście taniec i tutaj Włodzimierz Kuca w charakterze choreografa jak zwykle nie zawiodł.

Zachwycały zarówno dopracowane partie solowe, jak i niebanalne układy grupowe. Nic zatem dziwnego, że premierowe przedstawienie zwieńczyła owacja na stojąco.

AB

Reggae Day Festival

Festiwal świeżutki, bo organizowany dopiero po raz drugi, ściągnął do Częstochowy czołówkę polskiej sceny reggae. 5 czerwca na Stadionie Miejskim „Arena Częstochowa” zagrali: Junior Stress i Sun El Band, Dreadsquad, Paprika Korps, Cała Góra Barwinków, EastWest Rockers, Jamal oraz zwycięzca przedfestiwalowego przeglądu zespołów i sound systemów, który odbył się w Klubie Teatr from Poland, GDP Squad. Gwiazdą tegorocznego festiwalu był gość prosto z Jamajki, King Kong. Dodatkową atrakcją było losowanie wśród uczestników Festiwalu wycieczki na Jamajkę. Obyło się bez większych incydentów, mimo że impreza odbywała się w warunkach stadionowych przy dosyć dużej - jak na częstochowskie warunki - frekwencji. Po zakończeniu części koncertowej organizatorzy zaprosili uczestników na oficjalne After Party z Gwiazdami Reggae Day Festival do Klubu TFP. Tu atmosfera była bardziej kameralna, ale zabawa nie mniej udana. Sukces imprezy skłonił organizatorów do rozważań nad poszerzeniem jej formuły i stworzeniem w naszym mieście dużego festiwalu rockowego. Gorąco temu pomysłowi kibicujemy.

AB

Wiosna na fotografii

10 czerwca 2010 roku w Galerii Malarstwa i Rzeźby XIX i XX wieku w Częstochowie odbyło się podsumowanie II Powiatowego Konkursu Plastyczno-Fotograficznego pt. „Wiosna, wiosna ach to ty...” zorganizowanego przez Beatę Wiśniewską i Mariusza Grzyba - nauczycieli

Zespołu Gimnazjów im. Marszałka J. Piłsudskiego w Częstochowie przy współpracy z Muzeum Częstochowskim. Na konkurs wpłynęło 268 fotografii i 30 prac plastycznych z 10 gimnazjów z Częstochowy z 8 gimnazjów z powiatu częstochowskiego, 2 szkół Podstawowych oraz z gimnazjum z Myszkowa i Kłobucka.

W jury konkursu zasiadali: Jacenty Dędek (fotografik i fotoreporter), Katarzyna Sucharkiewicz (kustosz działu sztuki Muzeum Częstochowskiego), Sylwia Kurcab (konsultant ds. przedmiotów artystycznych i edukacji regionalnej RODN WOM w Częstochowie), Mariusz Grzyb (nauczyciel historii w Zespole Gimnazjów oraz pracownik Muzeum Częstochowskiego, fotografik), Beata Wiśniewska (nauczyciel plastyki w Gimnazjum nr 6 w Zespole Gimnazjów im. Marszałka J. Piłsudskiego). Poziom licznym prac był wyrównany, dominowała makrofotografia i fotografia zbliżeniowa. Autorzy prac wykazali się bystrą obserwacją otoczenia, wrażliwością na piękno przyrody oraz pomysłowością.

W kategorii fotografii Grand Prix zdobyła Katarzyna Kulej z Gimnazjum im. J. Korczaka z Blachowni, I miejsce - Magdalena Cekus z Gimnazjum nr 2 im. Pokolenia Kolumbów w Częstochowie, II miejsce - Marta Matyja z Gimnazjum im. J. Korczaka w Blachowni, III miejsce otrzymała fotografik Zuzanna Wrocławskiej z Gimnazjum im. Jana Pawła w Kłobucku oraz Mateusza Łąpiera z Gimnazjum nr 6 w Zespole Gimnazjów im. Marszałka J. Piłsudskiego w Częstochowie. Wyróżnienia przyznano: Kamili Trzepizur Gimnazjum Im. Jana Pawła w Kłobucku, Agnieszce Jońskiej Gimnazjum nr 10 w Częstochowie, Paulinie Królikowskiej z Gimnazjum nr 5 w Myszkowie oraz wyróżnienie specjalne dla Marcela Zalasa z kl. IV SP nr 54 w Częstochowie.

W kategorii prac plastycznych przyznano: I miejsce - Karolinie Rogali z Gimnazjum nr 16 w Częstochowie, II miejsce - Dominice Kołton z Gimna-

zjum im. A. Mickiewicza w Starczy, III miejsce Katarzynie Werekowej również z gimnazjum w Starczy.

Dzięki uprzejmości dyrekcji Muzeum Częstochowskiego najciekawsze prace można było podziwiać na wystawie pokonkursowej w budynku muzeum przy ul. Katedralnej 8.

BW i MG

Jazzowo i bluesowo

Trzecia edycja Dni Jazzowo-Bluesowych, organizowanych przez Klub Jazzowy Ask we współpracy z Instytutem Muzyki Akademii Jana Długosza oraz Towarzystwo Inicjatyw Artystycznych „FORMA”, zaskoczyła bogatym programem obejmującym nie tylko warsztaty z najwyższej klasy profesjonalistami, ale i koncerty światowej sławy gwiazd. Dyrektorem artystycznym warsztatów został znany gitarzysta, aranżer i kompozytor, Marek Raduli. Oprócz niego wśród prowadzących zajęcia znaleźli się: Elżbieta Zapendowska (wokalec), Jacek Królik (gitara elektryczna), Wojciech Pilichowski i Piotr Żaczek (gitara basowa), Tomek Łosowski i Cezary Konrad (perkusja) oraz Bartek Łęczycki (harmonijka ustna). Cztery dni intensywnych zajęć ubarwiły koncerty plenerowe przed IV LO im. H. Sienkiewicza: Joshua Lawrence'a (USA) z Damage Control oraz Pi Band - Fair of Noise.

AB

Hłasko w Ratuszu

Kultowa postać polskiej literatury, Marek Hłasko, zawiązał pod koniec czerwca do Galerii Poddasze częstochowskiego Ratusza za pośrednictwem bogatej kolekcji zdjęć, wycinaków prasowych, plakatów filmowych i teatralnych adaptacji jego twórczości, polskich i zagranicznych wydań powieści i opowiadań oraz dokumentów, jakie po sobie pozostawił. Spadkobiercą owego zbioru jest brat cioteczny pisarza, Andrzej Czyżewski, który uświetnił swoją osobą otwarcie wystawy. Gość, który jest rów-

nież autorem biografii Hłaski, „Piękny Dwudziestoletni”, podczas długiego, ponad półtoragodzinnego spotkania niezwykle ciepło i ciekawie opowiadał o mało znanych faktach z życia pisarza. Dowiedzieliśmy się między innymi, że Hłasko w dzieciństwie odwiedzał Częstochowę, a nawet przez krótki czas tu pomieszkiwał wraz ze swoją matką. Co więcej, właśnie tutaj w wieku lat jedenastu przeżył swoją pierwszą miłość, której obiektem była oczywiście częstochowianka. Niespodzianką dla wszystkich zebranych była obecność na spotkaniu również owej młodzieńczej miłości Hłaski, Alicji Kołowski (obecnie Baumert).

AB

Filmowo i hip-hopowo

Doczekaliśmy się również ciekawej inicjatywy muzyczno-filmowej w postaci Festiwalu Filmów Hip-Hopowych „Hip Hop Elements”. Filmy (w przeważającej części amatorskie) prezentowane podczas trzydniowych projekcji w Klubie Politechnik podzielono na bloki tematyczne: *graffiti*, *breakdance*, *beatbox*. Obejmowały one zarówno formy dokumentalne, jak i teledyski czy animacje. Projekcje stanowiły jednak tylko ułamek bogatego programu imprezy, która miała na celu przybliżenie mieszkańcom Częstochowy kultury hip-hopowej oraz konsolidację lokalnego środowiska hip-hopowego. W ramach festiwalu odbyły się zatem imprezy klubowe z udziałem znanych DJ'ów (w Klubie Rura zagrali Daniel Drumz i Deszczu Strugi z towarzyszeniem wizualizacji katowickiej grupy FLU), zawody *breakdance*, sesja *beatboxu* i przede wszystkim koncerty gwiazd w podwórku przy Carpe Diem. Przed tłumnie zgromadzonymi fanami hip-hopu wystąpił holenderski artysta Joe Kickass oraz znany łódzki raper OSTR z towarzyszeniem ŁDZ Orkiestry, DJ'a Haema i Kochana.

KK



fot. Piotr Dłubak

2. Wystawa Stowarzyszenia Marynistów Polskich częstochowskiego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych.

Marian Panek, kurator wystawy:

Koło częstochowskie Stowarzyszenia Marynistów Polskich wraz z rodzimą Zachętą, przedstawiło szerokiej publiczności czterdzieści cztery prace dwunastu autorów - dziesięciu artystów z Częstochowy i dwóch z Ustki. Koło w naszym mieście należy do ustckiego oddziału. Szefuje mu Dariusz Słota a w Ustce prezesem jest znakomity marynista Witold Lubiniecki, twórca tamtejszej znanej w Europie, Bałtyckiej Galerii Sztuki. Prezes Lubiniecki jest też komisarzem plenerów organizowanych przez Urząd Miasta, które odbywają się w Domu Pracy Twórczej ZPAP w Ustce. Plenery pod znaczącym hasłem: „M – jak Morze. Art. Meeting” goszczą artystów z całej Polski ale również też z Częstochowy. Zaproszeni zostali w kolejnych latach: Dariusz Słota, Włodzimierz Kulej, Marian Panek, Leon Maciej, Janusz Pacuda.

W częstochowskiej wystawie Stowarzyszenia Marynistów Polskich możemy zobaczyć bardzo zróżnicowane artystyczne postawy jej uczestników: Włodzimierza Kuleja, Witolda Lubinieckiego, Leona Macieja, Waldemara Michorzewskiego, Janusza Pa-

cudy, Dariusza Pali, Jacka Pałuchy, Mariana Panka, Tomasza Sętowskiego, Elżbiety Siwik, Dariusza Słoty, Piotra Wacheckiego. W przyszłym roku planowane jest również spotkanie marynistów w Częstochowie.

Zdjęcia pochodzą z wernisażu Piotra Naliwajki, Konduktorownia, Zachęta, Częstochowa, 04.06.2010

Dwie odsłony Konduktorowni

Regionalne Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych nie spoczywa na laurach nawet w tzw. „sezonie ogórkowym”, dbając o to, by galeria przy ul. Piłsudskiego nieustannie tętniła życiem. Po majowej ekspozycji najnowszych prac Jacka Pałuchy Konduktorownia gościła prace Piotra Naliwajki, wkrótce potem Zofii i Michała Paryżskich (bolejemy nad faktem, że ten wernisaż niestety nam umknął), by wreszcie wypełnić się twórczością częstochowskich marynistów.

1. Piotr Naliwajko – Męska rzecz

Wernisaż wystawy Piotra Naliwajki, był nie tylko wydarzeniem artystycznym, ale również towarzyskim, zgromadził bowiem licznych przedstawicieli kultury i sztuki naszego miasta. Twórczość Naliwajki często bywa określana mianem prowokacyjnej i skandalizującej, jako że artysta często posługuje się w swej pracy ironią i kpina, nie stroniąc od tematów obscenicznych. W jego malarstwie dominują portrety i kompozycje figuralne. Mocne w wyrazie, realistyczne prace

zaprezentowane czwecowego wieczoru w Konduktorowni znakomicie komponowały się z rockową oprawą muzyczną wernisażu, za którą odpowiadał zaproszony przez artystę śląski zespół NeLL. Twórca przyjaźni się i współpracuje z młodymi muzykami już od dłuższego czasu, jego pracownia sąsiaduje bowiem z salą prób zespołu. Obrazy Naliwajki znalazły się na okładkach wydawnictw NeLL oraz na ich stronie internetowej.

AB



fot. Piotr Dłubak

„Podejrzane światy” w obrazach Jacka Pałuchy



Marian Panek

Częstochocki artysta zaprezentował na początku maja w Konduktorowni dwadzieścia nowych prac malarskich z lat 2009 – 2010. Prac perfekcyjnie namalowanych i jak zwykle w przesmiewczym stylu.

Malarski kabaret Pałuchy opiera się na widzeniu otaczającego nas świata w krzywym zwierciadle. Najważniejsi w nim są jego bohaterowie i ich „odbicia”, czyli my wszyscy ze swoimi fantazjami, marzeniami, przywarami i atawistycznymi zachowaniami. Olbrzymia, solidarna kolicja poszukiwaczy recepty na szczęście. Szukamy go zawzięcie w polsko-słowiańskich rytuałach, obrzędach, tradycjach, przekazach z przeszłości, choć zanurzeni jesteśmy we współczesnej codzienności, w materialności indywidualnych bytów. Postaci z obrazów artysty są zarówno śmieszne jak i dramatyczne. Są na swojej ludzkiej scenie przeskalowane bądź pomniejszone persyflażowo. Komedialność łączy się w tym wyobraźniowym teatrze kolorowych obrazów z tragedią. Mimo, że oglądając je można się „lajtowo” pochichrać, w końcu zauważamy po gogolowsku, iż śmiejemy się sami z siebie. Czasem banalizujemy te przedstawienia malarskie, bo to nas przecież nie dotyczy, bo te wyobrażenia są trochę zbyt fantastyczne. Konstatację filozoficzną Gogola odrzucamy, choć nadal jest aktualna. Najtrudniej jest poznać samego siebie. O tym wiemy już od Sokratesa, jak jesteśmy pięknie zakłamanii, jak łatwo wpadamy na własne, mentalno-duchowe pole zaminowane życiowymi półprawdami.

Inną znaczącą wartością malarstwa Jacka Pałuchy jest jego odmiennosc obrazowania i jej egzotyka wypracowana w szczególny sposób – nie tylko przez odważne, ale również wyrafinowane zestawienia kolorystyczne. Artysta, świadomie poszukując swojej malarskiej prawdy, jak i swoistego wyrazu oraz ekspresji, zbliża się do wartości sztuki naiwnej. Istotna jest tu bezpośredniość, bezkompromisowość i anegdotyczność jego obrazowania. Można też mówić o formalnych deformacjach, przeskalowaniu, dynamicznych skrótach perspektywicznych, czystości kolorystycznej oraz „poukładaniu” poszczególnych elementów struktury kompozycji obrazu.

Ta charakterystyka oczywiście nie wyczerpuje wszystkich istotnych aspektów owego obrazowania świata. Sam tytuł wystawy jest dwuznaczny. Poprzez przywołanie podwójnej znaczeniowości słowa „podejrzane” Pałucha mówi: „Podglądajcie bo ja was również podglą-

dam. Zobaczcie jak «podejrzenie» wyglądacie w swoich oczach i w oczach innych”.

Słów kilka o ważnych nowych obrazach zaprezentowanych na wystawie i w katalogu. Istotnych z wielu względów. Przede wszystkim jednak budujących jakość wystawy i doskonale odzwierciedlających dwuznaczność „Podejrzanych światów” Jacka Pałuchy.

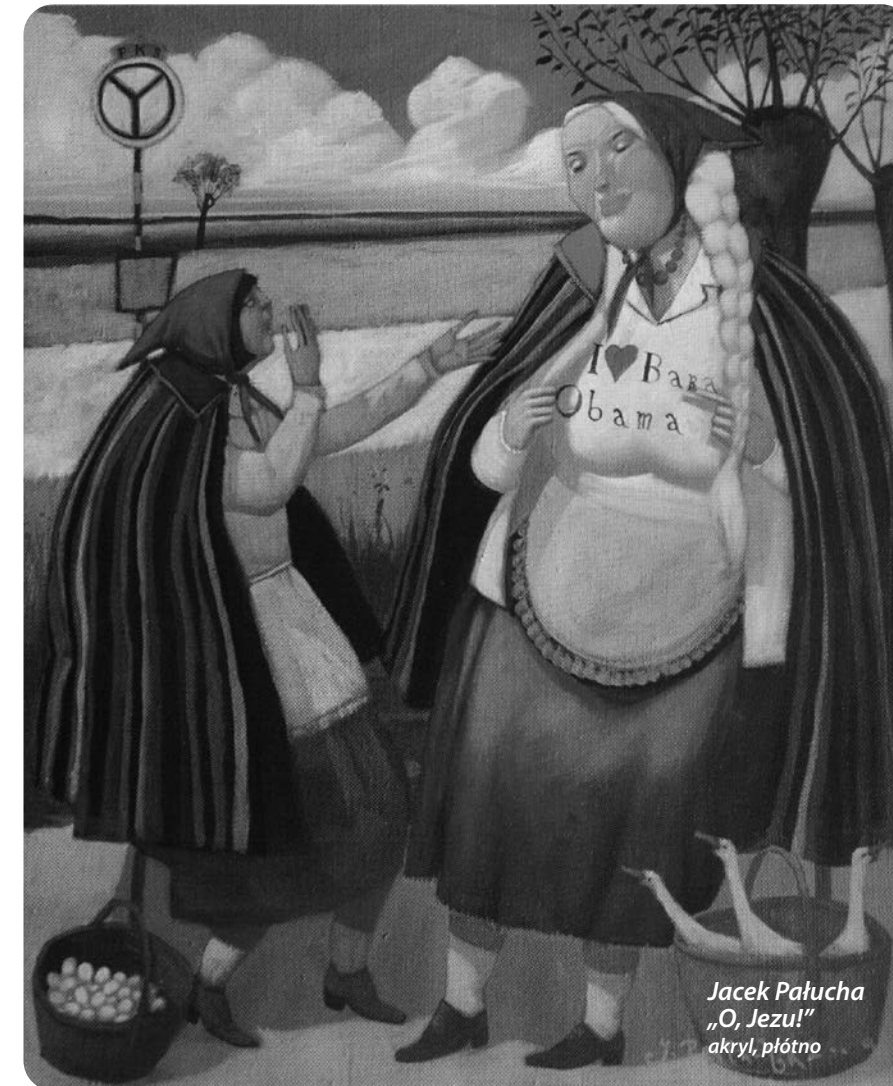
Bohaterem panoramicznego obrazu, rozległej kompozycji podpisanej przez autora jako „Powitanie Obcych chlebem i solą” jest tłum tak zwanych „współczesnych obywateli ziemskich” oczekujących w zagajniku przy polnej drodze na wynik pierwszego kontaktu posła wysłannika z istotami z kosmosu, przybyłymi świetlistym dyskiem na zaśnieżone rolne pustkowie. Grupa chłopów i wiejskich bab uzbrojona w kosy, widły, fuzje, cepy, sierpy zorganizowana pod dowództwem sołtysa i księdza plebana, spokojnie deliberuje urozmaicając sobie czas paleniem papierosów. Zimowa błękitna aura nocnej pory spowija ciekawie zakomponowaną partyturę ruchową postaci. Malarz pokazuje to na rozległej scenie ludzkich zdarzeń. Obraz ten może w pewnym sensie kojarzyć się z rembrandtowskim dziełem „Wymarsz straży nocnej”.

Fantastyka jako temat pojawia się również w obrazie zatytułowanym „Kontrola drogowa”, gdzie

w terenie zabudowanym milicja obywatelska ustawiła przy drodze radar. Pojazd kosmiczny w postaci latającego talerza widocznie przekroczył dozwoloną prędkość i został zatrzymany przez roslą milicjantkę. Postać kobiety jest dużo większa od stojącego przed nią ufoludka. Drogowskaz wskazuje, że do Lichenia pozostało jeszcze 13 kilometrów.

„Samochód z Pewexu” to obraz o transporcie nowiutkiego małego Fiacika z dolarowego sklepu na chłopskiej furze. Gniady dorodny koń ciągnie wóz na gumowych kółkach, a na nim zapakowane jedzie sobie słynne na całym świecie autko produkowane w Polsce. Gospodyni siedzi na wozie bardzo dumna i poważna, a gospodarz trzymając lejce popędza swojego rasowego konia. Obraz komponowany w poziomie zawiera w sobie również doskonale namalowany rozległy równinny pejzaż – pola tu i ówdzie pokryte łachami śniegu, a nad nimi fioletowo błękitne niebo.

„Tata musi już lecieć” przedstawia dorosłego kosmonautę, który żegna się z żoną i córką. Przed swoim domem zbudował wysoką raketę do, której wchodzi się po drabinie i którą to zamierza wyruszyć w przestrzeń pozaziemską. Na pożegnanie daje córce przysłowiową „stówkę”. Ręce w żółtych rękawiczkach orkiestrują układ kompozycyjny.



„O Jezu!” to obraz o współczesnych fascynacjach światową polityką, niektórych gospodyń wiejskich. Jedna z nich prezentuje swojej znajomej bluzkę z napisem Kocham Baracka Obamę na przystanku autobusowym ustawionym w szczerym polu. Starsza doznaje szoku widząc napis na piersi młodszej dorodnej kobiety wcześniej ukryty pod wełnianą ludową zapaską.

„Są wyspy szczęśliwe?” przedstawia całościowy portret sprzątającego śnieg młodego mężczyzny, który trzyma w ręce pocztówkę przekazaną mu przed chwilą przez listonosza. Pocztówka przedstawia egzotyczną żółtą plażę z pochylonymi palmami.

Wernisaż wystawy zgromadził licznych gości. Było wesoło i towarzysko. Wielu przymierzało się do kupna któregoś z obrazów, inni dyskutowali zawzięcie o polskim rynku sztuki i jego zaletach i słabościach. Dobra sztuka broni się sama - tak też jest w przypadku tej prezentacji. Malarstwo Jacka Pałuchy, ilustracyjne i opowiadające, zwraca uwagę zarówno kolekcjonerów, jak i zwykłych zjadaczy chleba. Opisuje świat, a w szczególności Polskę, kraj ludzi dotkniętych przez różne traumy i „nawiedzenia”. Mimo, że z całego obozu komunistycznego, jak mówiono, „u nas w baraku było najweselej”, to jednak byliśmy siedemnastą republiką. Toteż od czasu do czasu „słowiańskość zza miedzy” przemyka się po obrazach artysty. „Dziwny ten świat” śpiewał Czesław Niemien – Jacek Pałucha podgląda „Światy podejrzane”.

Konduktorownia, Zachęta,
Częstochowa, 08.05.2010

Częstochowa Trzecim Okiem

[raport na dzień 1 lipca 2010r.]

Adam Florczyk

Budzę się, siadam do komputera i łączę się z siecią. W XXI wieku, to czynność równie oczywista, jak mycie zębów, czy zjedzenie śniadania. Wchodzę do przeglądarki i wybieram się na poranny spacer po mieście. Częstochowa wirtualna, podobnie jak Częstochowa realna, nie przygniata bogactwem. Trzeba się nachodzić i naszukać, by odnaleźć interesujące miejsca.

Od kilku miesięcy wizytówką „miasta po drugiej stronie” stał się blog **Co, Gdzie, Kiedy** [cgk.czestochowa.pl]. Chwała Urzędowi Miasta za to, że decydując się odświeżyć formułę kulturalnego informatora miejskiego, zadbał również o jego internetowe życie. W ten sposób CKG stało się miejscem centralnym, tablicą ogłoszeń z aktualnymi, atrakcyjnymi ofertami na spędzenie wolnego czasu. Potrzeba istnienia takiego miejsca wydaje mi się tak oczywista, że nie potrafię zrozumieć, dlaczego tak długo rodził się pomysł, by je stworzyć.

Wcześniej, by znaleźć informacje o tym co się dzieje w mieście, trzeba było radzić sobie inaczej. Z pomocą przychodził na przykład **Agregat** [agregat.czyst.pl], portal promujący lokalną kulturę niezależną, który niestety zawiesił już swoją działalność. Mimo wszystko nadal warto tam zaglądać, ze względu na nieoceniony zbiór linków do stron internetowych lokalnych artystów, profili częstochowskich zespołów na myspace.com, czy witryn klubów. Wszystko jest jeszcze w miarę aktualne (oczywiście na ile to możliwe w mega dynamicznym środowisku cyfrowym), dlatego jest to doskonały punkt wyjścia do dalszych, nieśpiesznych wycieczek.

Kolejnym punktem obowiązkowym podczas porannego spaceru są **Fotomedaliki** [fotomedaliki.pl]. Czę-

stochowa fotografami stoi, co doskonale widać w sieci. Można by długo wymieniać przystanki obowiązkowe: **karmazyniello** [karmazyniello.info], **pjolo** [pjolo.blogspot.com], **patizz** [www.patizz.fotolog.pl], **czestojura** [czestojura.blogspot.com] itd. Ilość fotoblogów i stron lokalnych fotografów jest naprawdę imponująca, a Fotomedaliki sprawnie tym bogactwem zarządzają. Oczywiście znajduje się tam linkowisko do wszystkich tych miłośników aparatu, a zakładka „co słycać na blogach?”, pozwala śledzić ich twórczość, bez groźby zagubienia się natłoku informacji. Do niedawna, odbywały się tam również konkursy na zdjęcie tygodnia. Sympatyczna inicjatywa spajająca społeczność zgromadzoną wokół tego portalu. Teraz trochę tego brak, ale mam nadzieję że ta tradycja jeszcze powróci.

Po uczcie złożonej z pięknych obrazków, nachodzi człowieka smak na słowo pisane. Niestety tutaj napotykamy na znaczne problemy. Lokalna prasa dość niemrawo przenosi się w cyfrowy wymiar i tak naprawdę warto zaglądać chyba jedynie na lokalny dodatek **Gazety Wyborczej** [czestochowa.gazeta.pl]. Natomiast kilkakrotnie podejmowane próby stworzenia internetowego portalu informacyjnego o Częstochowie, zazwyczaj kończyły się klęską. Witryny szybko zmieniały się w nudne i martwe miejsca pełne ogłoszeń i przestarzałych newsów. Na placu boju pozostała jedynie **Stacja Częstochowa** [stacjaczestochowa.info]. Portal istnieje już 1,5 roku (prawdziwy weteran), ale wciąż szuka swojej docelowej formy. W swoich poszukiwaniach jest jednak dość konsekwentny. Nie rezygnuje z ambicji opiniotwórczych i stara się patrzeć na Częstochowę jak najszerzej.

Problemy pojawiają się również, gdy szukamy lokalnego miejsca wymiany opinii, co jest właściwie odzwierciedleniem kłopotów z przepływem

informacji poza siecią. Początkowo, komunikacja międzyrodowiskowa w mieście kuleje - przez co między innymi mamy takie problemy frekwencyjne na imprezach kulturalnych. Nie powinno zatem dziwić, że również w internecie częstochowanie, ograniczają się do komunikacji przez gg, facebooka i naszą klasę. Nie szukając czegoś więcej. Jest co prawda często odwiedzane **forum Gazety** [forum.gazeta.pl/forum/f,55,Czestochowa.html] ale to otchłań i chaos. W porównaniu z nim **Forum Częstochowa** [czestochowaforum.pl] ma mniejszy ruch, ale porządek i ład zdecydowanie większy. Dzięki temu większa jest tam szansa na konkretną, merytoryczną rozmowę. Czasem tylko mam wrażenie, że całe to forum ciągnie kilka osób, i mocno trzymam kciuki, by starczyło im sił na ten syzyfowy wysiłek.

Częstochowa nie doczekała się też jakiejś rozbudowanej blogosfery. Trudno znaleźć blogi, które bezpośrednio dotykałyby miasta. Nad recenzjami z lokalnych imprez, seansów czy wydarzeń kulturalnych góruje forma prywatnych pamiętników.

Na koniec, krótkie odwiedzin w kilku moich ulubionych częstochowskich zaułkach: szybka, fotograficzna podróż w czasie na **Częstochowa Wczoraj i Dziś** [czestochowa.ws], obowiązkowa wizyta u królów ulicy z **Monstfura** [fotolog.com/monstfur], trzeba też sprawdzić, czy **Gino** [banzaj.blogspot.com] nie wrzucił nowej strony komiksu i co nowego szykuje **Studenckie Koło Teatralne „naJana”** [najana.kgb.pl].

Wyłączam komputer, bo obowiązki wzywają. Czas zanurzyć się w offline'owej rutynie.

Od redakcji: Autor jest znanym częstochowskim bloggerem [czestolovechowa.blox.pl].

BAGGERSI

- czyli jak w Mieście Świętej Wieży rodzi się nowa subkultura

Mateusz Szkop

Baggering to połączenie sportu i charakterystycznej filozofii życiowej. Specyficzna moda z określonym kanonem ubioru, ekstrawaganckim stylem bycia i hermetycznym językiem, czyli slangiem, który każe zamieniać „ładne dziewczyny” w „przekrzywe czaszki”. W zasadzie wszystkie aspekty funkcjonowania tego nowego zjawiska stanowią wspólny mianownik dla subkultury młodzieżowej, rozumianej jako grupa społeczna, w której normy obyczajowe, zasady postępowania czy ubiór odbiegają od norm reszty społeczeństwa. Baggersi do miast, a właściwie takiej subkultury młodzieżowej pretendują. Jest tylko kwestią czasu, kiedy zostaną dostrzeżeni przez socjologów i zaakceptowani przez fanów sportów ekstremalnych lub zwykłych, naśladowujących swych idoli nastolatków.

Pewnie niektórzy z Was widzieli już tych kolorowo i zrelaksowanie wyglądających chłopców na ulicach naszego miasta. Być może ktoś już zwrócił uwagę na ich dziwne akrobacje chodnikowe lub sportowe ewolucje w parkach i przy pomnikach. Wokół rodzi się jednak tyle ekstrawaganckich zjawisk, że łatwo przeoczyć kolejne z nich. Kiedy prześledzimy narodziny większości subkultur związanych ze sportem, takich jak chociażby *parkour* czy *skating*, zauważamy, że z początku zazwyczaj odbierane były z pewną dozą niedowierzania i traktowane jako dziwactwa. Z czasem przeistoczyły się w ponadnarodowe ruchy, prężnie działające w sferze sportu, marketingu, handlu, muzyki czy ulicznej sztuki.

Baggering powstał około czterech lat temu w Japonii, co nie jest bez znaczenia. Jako oryginalne zjawisko funkcjonuje w oparciu o schematy związane z turystyką, a to właśnie Japończycy biją rekordy frekwencyjne w tej dziedzinie usług, oblegając ze swoimi aparatami fotograficznymi miasta wszystkich państw, jak świat jak długi i szeroki. Kwestią czasu pozostawało kiedy któryś z nich wpadnie na pomysł, aby przemienić turystykę nie tylko w sport, ale również styl życia. (Podejrzewam, że drugim równie ważnym czynnikiem była ilość pozytywnych wariacji przypadających na dziesięciu mieszkańców tego kraju).

Samo wyrażenie *baggering* jest zapożyczeniem z języka angielskiego, pochodzi od słowa *bag*, czyli „torba”, „walizka”, oraz *baggage* oznaczającego „manatki”. Głównym bowiem znakiem rozpoznawczym Baggersów jest właśnie walizka, a dokładniej mówiąc walizka z kółkami. Poza funkcją emblematyczną pełni też rolę sprzętu do wykonywania sportowych ewolucji. Te z kolei dzielą się na dwie kategorie - *Street* i *Pro*. *Street* związany jest z ciągnięciem „gada” - to slangowa nazwa dla walizki - ulicami miasta i omijaniem przeszkód typu chodniki i schody. Można to robić za pomocą podstawowych ewolucji takich jak *flip 180*, *flip 360*, *backpass* czy *rolling*. Kategoria *Pro* dotyczy bardziej zaawansowanych ewolucji, które można wykonywać jedynie w odpowiednich *game park'ach*. Takowych oczywiście jeszcze w Polsce nie ma, stąd okazja by trafić na naszych Baggersów pod pomnikami i wszędzie tam, gdzie połączenie granitu, betonu i asfaltu tworzy strome kaskadowe formy idealne do zjazdów i skoków.

O Baggeringu można by napisać jeszcze wiele. Jesienią tego roku planowana jest premiera pierwszego filmu dokumentalnego o naszych częstochowskich Baggersach. Film powstał w ramach warsztatów filmowych, zorganizowanych dzięki dofinansowaniu z Centrum Amatorskiego Ruchu Artystycznego.



Kadry z filmu dokumentalnego o częstochowskich Baggersach.



Wojciech Kowalski w monodramie
„Porady dobrego wojaka Szwejka”.



Kondycja częstochowskiej sceny niezależnej

– krótka
analiza

Julia Liszewska

zdjęcia
Piotr Kras

Jeszcze parę lat temu Częstochowa mogła zarządzić swoich teatralnych rejestrach dwa wiodące teatry: Teatr From Poland, działające od kilkunastu lat: Teatr From Poland (z siedzibą w Zaułku Wieluńskim (obecnie przeniesiony w bramę w ul. NMP) i Teatr Wojtka Kołsuta (z siedzibą w wietrznej dzielnicy Północ). Istniała też niezależna scena „Błazen”, założona przez muzyka Tomasza Kmiecika, współpracująca z artystami krakowskiej Piwnicy i z aktorami Teatru Mickiewicza. Nie ujmowało jej to wcale offowego charakteru. (Podobnie jak choćby w przypadku wrocławskiego teatru „Ad Spectatores” Macieja Masztalskiego, gdzie gros zespołu stanowią zawodowi aktorzy teatru Polskiego, a który jest na wskroś offowy). Gdzieś tam przewijały się teatralne inicjatywy studentów i licealistów, ale nie weszły do nurtu głównego.

Istniały też oczywiście (i nadal istnieją) grupy teatralne związane z Kościołem (z konkretnymi parafiami lub osobami), nawiązujące do teatru misteryjnego, pasyjnego, ale nie będę się nimi zajmować w dzisiejszym artykule. Podobnie, jak odpuszczę sobie grupy działające w miejskich ośrodkach kultury (często prężnie i z sukcesami, jak

teatralna grupa Sebastiana Banaszczyka z ROK-u) oraz teatry dla dzieci (jak choćby, działający już od 14 lat teatrzyk Michała Kuli „Gong”). Skupię się na częstochowskim *mainstreamie*, na teatrach i twórcach pokazujących spektakle autorskie, których wpływ jest najbardziej widoczny w niszowej teatralnej tkance miasta.

W ostatnich latach powstało i rozwija się w Częstochowie kilka takich teatrów. Nie licząc kultowych, wspomnianych wyżej, Teatru From Poland (obecnie w pozycji zwykłej) i Teatru Wojtka Kołsuta (obecnie w regresie, a szkoda, bo w 2011 roku będzie obchodził 20-lecie działalności), działają: autorski teatr Piotra Nity „Blee” i studencki teatr Jakuba Jury „Na Jana”, a także najbardziej komercyjny z niezależnych Teatr Tańca Włodzimierza Kucy. Każda z tych grup ma na koncie kilka ważnych przedstawień i wykazuje tendencje rozwojowe.

Teatr From Poland, działający bardzo intensywnie w latach 90-tych jeszcze jako Teatr WiFiFi, skupiając głównie studentów polonistyki ówczesnej WSP. W roku 2000 zmienił swoją nazwę na obecnie funkcjonującą, a jego filarami stali się Wojciech Kowalski (aktor) i Jarosław Filipski (reżyser i dostarczyciel tekstów). Dobrali oni sobie grupę osób stale i okresowo z teatrem współpracujących i stworzyli kilka interesujących spektakli. Kontynuowali idee Teatru WiFiFi, koncentrując się głównie na happeningach i akcjach performerskich. Treścią ich było ironiczne komentowanie rzeczywistości pełne ukrytych znaczeń, metafor, a tak-

że - co w teatrze offowym ważne - prowokacji. Ich najbardziej znane spektakle z tego okresu to: „Prorok”, czy „Persona”, czyli rozważania o wpływie jednostki na losy dowolnego społeczeństwa.

Drugą „gałęzią” działalności duetu Kowalski - Filipski stały się, pisane przez Filipskiego, monodramy. Pisane głównie dla Wojtka Kowalskiego: „YaToYa”, „Saksofonista”, „Stand Up Comedy” cieszyły się i nadal cieszą zainteresowaniem publiczności. Największy sukces odniósł kultowy już „Saksofonista”, grany z powodzeniem od 8 lat, zebrał piękne żniwo w postaci nagród teatralnych w całym kraju. Teatr From Poland kształci też młodych aktorów. W roku 2005 Filipski założył Teatr Narybek From Poland, do którego

Finaliści Ogólnopolskiego Przeglądu Monodramów 42-200,
Teatr MOMO „Powiązania”.



przyjmował bardzo młodych pasjonatów teatru, uzdolnionych aktor-sko. Obecnie grupa działa w Ośrodku Kultury w Mysłowicach. Ostatni sezon (o ile w przypadku działalności teatrów offowych można mówić o sezonach) przyniósł Teatrowi From Poland dwa tytuły: autorski spektakl Wojciecha Kowalskiego „Porady dobrego Wojaka Szwejka” na podstawie powieści Haška i plenerowe przedstawienie „Hedoniści 2”, stworzone w koprodukcji z gorzowskim Teatrem Kreatury. Teatr From Poland zajmuje na teatralnej mapie Częstochowy miejsce szczególne bowiem oprócz działalności stricte twórczej prowadzi inne działania animujące ruch teatralny w naszym mieście. Aktorzy tego teatru organizują warsztaty teatralne dla młodzieży (jak choćby tegoroczna akcja „Różne punkty zwidzenia” – lato z teatrem), biorą udział w kulturalnych działaniach miasta jako konferansjerzy i performerzy, przygotowują projekty artystyczne. Nie mogę też nie napisać o inicjatywach, które mają niebagatelny wpływ na rozwój okołoteatralny naszego miasta. Wystarczy wspomnieć, mający tego lata już V Edycję Festiwal Teatrów Ogródkowych „W Alejach”, którego pomysłodawcą i organizatorem jest aktor Teatru From Poland, Andrzej Gęsiarz, czy mający dopiero dwie edycje, a już posiadający pewien prestiż w środowisku teatralnym (bo założony przez postać już kultową – Wojtkę Kowalskiego) listopadowy Przegląd Monodramów 42-200.

Teatr Wojtki Kołsuta to zupełnie inny rodzaj teatru offowego. Powstał na początku lat 90-tych, a jego założycielem był artysta plastyk Wojciech Kołsuta. Założycielem, dyrektorem, reżyserem głównym aktorem, twórcą scenografii i kostiumów. Prawdziwa alfa i omega teatralna. Spektakle Teatru Wojtki Kołsuta opierały się głównie na efekcie wizualnym – plastyce ruchu, efektownej scenografii, efektach specjalnych typu fajerwerki (ogień w ogóle w tym teatrze odgrywał od samego początku znaczącą rolę). Inspiracją dla Kołsuta stała się twórczość jego największego mistrza, Tadeusza Kantora, a treścią - życie i twórczość artystów związanych z malarstwem („Pamięci Jacksona Pollocka”) czy literaturą („Co słyhać, panie Beckett?”). Były to duże widowiska, robione z rozmachem, bardzo efektowne. W ostatnich latach formuła tego teatru uległa, mam wrażenie, drastycznej przemianie, spektakle stały się bardziej kameralne, wyciszone, jak choćby dwie ostatnie produkcje: „Dotyk niespełniony” i „Noc demonów” (oba inspirowane literacko). Artysta nazywa je spektaklami „teatru malowania”, bo w czasie ich trwania (głównie deklamacji) tworzy on dzieło malarskie. Kołsuta nie zrezygnował całkowicie z większych realizacji, robionych teraz głównie na zamówienie Urzędu Miasta Częstochowy, jak chociażby widowiska historyczne: „Krwawy poniedziałek” czy „Pamięć”, pokazywane głównie w związku z wydarzeniami rocznicowymi, obchodzonymi w Częstochowie. W 2011 roku teatr będzie obchodził okrągły jubileusz 20-lecia istnienia i z tej okazji, mam nadzieję, pokaże coś interesującego, formalnie i treściowo nawiązującego do największych swoich osiągnięć. Z tego, co jest mi wiadome, ma to być spektakl związany z twórczością Bruno Schulza.

Trzecim teatrem działającym już od wielu lat jest **Teatr Tańca Włodzimierza Kucy**. Kuca, znany częstochowski choreograf i nauczyciel tańca, konsekwentnie daje co rok jedną premierę. Zazwyczaj są to

spektakle bardzo emocjonalne, barwne, oddające ideę teatru tańca. Jednak, oprócz perfekcyjnie dopracowanej choreografii, dużo w nich aktorstwa (role są konsultowane z zawodowymi aktorami). Kuca inspirację czerpie z życia („Promocja”), często sięga też po dzieła literackie (np. ostatnia premiera „Dzwonnik”, na podstawie powieści Hugo), czy tematy baśniowo - mitologiczne („Feniks”). Zdarzyło mu się zrobić również spektakl dla dzieci - „Co w trawie piszczy”. Właściwy dobór tancerzy (z gwiazdami takimi jak Bazyli Ogiński, czy Anna Hampelska) i długie miesiące prób dają efekty - każda premiera jest wydarzeniem teatralno - medialnym.

Następne dwa teatry wyrosły z ruchu studenckiego, ale egzystują i tworzą na zupełnie odmiennych zasadach. **Autorski Teatr Piotra Nity „Blee”** (kontynuujący artystyczny żywot Grupy Literackiej Blee, założonej w roku 2002) karmi się tekstami parateatralnymi swego założyciela. Aktorzy są tu niejako dopełnieniem, najważniejszy zawsze jest tekst, przekaz. Nita podejmuje tematy trudne, ważne, uwierające, prawie zawsze kontrowersyjne. W swoich spektaklach zahacza o kwestie np. upośledzenia umysłowego („Posłuchaj, czego nie mówię”) czy rozprawia się ze stereotypami życia w domu starców („Pampersowa”). Czasami sięga też po materiał *stricte* teatralny. Tak było z monodramem Michała Hupy „Wprawka”, mówiącym o „cierpieniach młodego aktora” zmagającego się z rolą. Blee eksperymentuje też oczywiście z formą, ale nigdy eksperyment nie przysłania treści, nie zaciemnia przekazu. Teatr porusza się swobodnie zarówno w obrębie spektakli aktorskich



„Krwawy poniedziałek”

- spektakl Teatru
Wojtki Kołsuta
przed Archikatedrą
w Częstochowie.

(w których niekwestionowaną gwiazdą jest Michał Hupa), jak i lalkarskich („Pampersowa” - tegoroczna premiera). Organizuje też działania uliczne, happeningi, często prowokacyjne (jak akcja tegorocznej Nocy Kulturalnej: „Komu książka, komu?”), biorąc czynny udział w kulturalnym życiu miasta.

Kolejna grupa, wciąż jeszcze studencka, zdobyła sobie popularność dzięki propagowaniu teatru poprzez cykliczną akcję „Czytamy Współczesny Dramat”. Na comiesięcznych spotkaniach aktorzy **Teatru „naJana”** prowadzą coś w rodzaju otwartych prób czytanych, a na tapetę wchodzi współczesne teksty dramaturgów polskich (Lidia Amejko, Tomasz Man) i obcych (Tony Perez, Terje Nordby). Akcja odniosła sukces. „Na każdym czytaniu sala jest pełna, mamy grono stałych odbiorców. Postawiliśmy na mało znane, ale ciekawe dramaty autorów różnych narodowości i to się sprawdziło. Pokazaliśmy miastu kawał dobrej literatury i chcemy kontynuować projekt w roku następnym” - mówi szef grupy Jakub Jura.

Co do działań scenicznych to, mam wrażenie, grupa „naJana” jest jeszcze w trakcie poszukiwań własnego stylu, kierunku w którym chciałyby pójść. Jej spektakle są bardzo nierówne - od niezłego „Kaleki z Inishmaan” Martina McDonagha do zupełnego niewypału, eksperymentalnego „Chóru trojańskiego”, luźno opartego o epos Homera. Biorąc jednakże pod uwagę krótki czas działania grupy (dwa lata), można jeszcze te poszukiwania usprawiedliwić, tym bardziej, że w tak krótkim cza-

sie „naJana” zaistniał już na częstochowskiej scenie niezawodowej.

Wszystkie wymienione teatry koegzystują w Częstochowie, każdy z nich działa na innym „poletku” artystycznym, spełnia inne zadanie. Wszystkie wpisują się w kulturalne działania miasta, tworząc teatralny klimat poprzez kolejne premiery, czy animację życia kulturalnego. Chciałabym napisać, że teatr w Częstochowie zaczyna wchodzić „pod strzechy”, ale na to jest jeszcze chyba za wcześnie. Można natomiast pokusić się o stwierdzenie, że częstochowski teatr niezależny zaczyna coraz częściej wychodzić do ludzi, stanowiąc alternatywę dla jedyne go teatru instytucjonalnego. Alternatywę ciekawą, wartościową, inspirującą, pobudzającą kolejne artystyczne inicjatywy.

Dom, ludzie, fotografie... - ostatnie akcenty VII Triennale Sztuki Sacrum

Janusz Mielczarek

tekst i fotografie

Gdyby impreza o podobnym rozmachu i zawartości merytorycznej, jaką jest VII Triennale Sacrum, miała miejsce w Krakowie, Katowicach czy w innym z miast wojewódzkich, byłoby o niej głośno i z zachwytem. W prowincjonalnej i wciąż degradowanej Częstochowie, przy niewielkich możliwościach i zainteresowaniu kulturą ze strony lokalnych mediów, obraz nie jest budujący. Szkoda, bo po trudnej i wieloetapowej batalii szefostwa Miejskiej Galerii Sztuki o fundusze z Unii Europejskiej, w trwających blisko 9 miesięcy prezentacjach połączonych z sympozjami tematycznymi, pokazano dzieła, jakich obejrzenie jest rzadką okazją oraz usłyszano głosy ludzi nauki i sztuki warte zapamiętania i refleksji.

Dla porządku oraz unaocznienia rozmiarów przedsięwzięcia, wymienię tytuły, jakie złożyły się na VII Triennale Sztuki Sacrum.

Wystawy:

- Dom - droga istnienia
- Dom zredukowany, dom bezdomny - dom w sztuce współczesnej
- Dom na fotografii
- Varia Śląskie, Ogrody Polskie - fotografie Wojciecha Prażmowskiego

Pozostałe imprezy:

- Konkurs dla artystów - Dom w sztuce młodych
- Konferencja naukowa - Dom - droga istnienia
- Konferencja metodyczna - Widzenie dzieła sztuki i warsztaty - Wychowanie dla sztuki
- Przegląd filmów oraz film - „Dom - droga istnienia: dom w tradycji śląskiej”, zrealizowany w ramach projektu.

Obserwując imprezę od początku, czyli od listopada ubiegłego roku, cenię sobie, że jej ostatnie akcenty wypełniła fotografia. Fotografia podążająca drogą istnienia naszego domu, mieszkania, siedliska. Rejestrująca nasze przemijanie i nieprzemijalność domu, obserwująca ludzkie „tu i teraz” oraz ten sam stan bez nas, bez tych, którym dom przeminął, pozostał kątem w przytulisku i ławka na dworcu. Dom strzeżony przez symbole i dom, w którym ślad pozostawił ktoś zapamiętany przez ludzi swojego czasu.

Dobrze się stało, że w imprezie pokazał swoje prace artysta wybitny - Wojciech Prażmowski. Przypomnę, że ostatni raz oglądaliśmy w Częstochowie jego fotografie w roku 2001, na zorganizowanej przez Muzeum wystawie „Białe - czerwone - czarna”, która stąd rozpoczęła wędrówkę po Polsce.

Ceniąc sobie szczególnie walory dokumentalne fotografii wykonanych przez autora w latach 2002 - 2006, ubolewam, że emanująca z części z nich okrutna prawda destrukcji, dzisiaj, po dwudziestu latach od pogrzebu PRL - u nie przeszła do historii, jak tego oczekiwaliśmy, ale wciąż jest blisko. Za blisko.

Zastanawiam się, czy ostatnia częstochowska wystawa Wojciecha Prażmowskiego jest symbolicznym powrotem do miejsca urodzenia, zamieszkania i twórczości. W czasie rozmowy w roku 2003, rozżalony sugerował, że będzie zabiegał o usunięcie informacji o tym z jego not biograficznych. Jeśli obecna wystawa oznacza powrót, to bardzo dobrze, jeśli nie - trzeba uszanować wolę artysty.

W upalny majowy dzień nazwisko Prażmowskiego było magnesem przyciągającym publiczność na wernisaż wystaw do MGS. Szkoda, że dla jej sporej części pozostałe fotografie, w wielu wypadkach sygnowane nazwiskami ważnymi dla polskiej fotografii, nie budziły zainteresowania.

„Dom w fotografii” to dla mnie dwie, a może nawet trzy wystawy przenikające się subtelnie i płynnie. Pierwsza, na Sali Poplenerowej, dotyka klimatu wokół domu, jego miejsca w przestrzeni, przedmiotów jakimi go obudowujemy i tych gromadzonych przez lata z potrzeby naszego ducha, tworzące jego *sacrum*.

Po drodze do ekspozycji na piętrze napotykamy jeszcze fotografie Elżbiety Siwik, z cyklu - „Aleja 0, niski parter”. Starszym widzom przypominają dawne mieszkania w suterenie, może sąsiadów i ich skrofuliczne dzieci, dla młodych to już tylko klimaty, klimaty...

Ekspozycja w Sali Gobelinowej jest zapisem pamięci jednych, chwili odchodzenia innych, a także dnia dzisiejszego: trudnego, samotnego, rodzinnego oraz zawartego w symbolach. To niezwykle zapis pozostawiony przez znakomitych autorów,



że wymienię tylko: Zofię Rydet, Annę Bohdziewicz, Jerzego Lewczyńskiego, Zbigniewa Łagockiego, Zbigniewa Różyckiego oraz młodą Annę Wiatr.

Wśród fotografii plejady znanych autorów są także dwa reportaże częstochowianina Jacentego Dędką, współpracownika „National Geographic” i innych tytułów. To jeden z tych nietuzinkowych fotografów, dla których tworzony obraz jest wartością najwyższą. Autor nie poddający się bylejałości i ciżbie masy z aparatami, potrafiący przejść się i zrozumieć sytuacje fotografowanych. Jego dwa cykle: „Śląskie rodziny” i „Słowaccy Romowie” stanowią pomost pomiędzy wystawą a tym, co jest dzisiejszym dniem, na ulicy, za ścianą Galerii.

Jak przystało na rangę imprezy, VII Triennale Sztuki Sacrum pozostawia po sobie ślady wydawnicze na dobrym poziomie. Szczególnie tom pierwszy – „Dom - droga istnienia” atrakcyjnie zredagowany i zaprojektowany graficznie, z doskonałą grafiką tekstu i zróżnicowaniem kolorystycznym papieru zasługuje na najwyższe noty.

Na początku lipca br. dotarł do Częstochowy podwójny numer „Kontekstów” (2 - 3, 2010), wydawanych przez Instytut Sztuki Polskiej Akademii Nauk i Stowarzyszenie Liber Pro Arte, pisma zajmującego się antropologią kultury, etnografią i sztuką. Czterystronicowe wydawnictwo poświęcone jest właśnie problematyce częstochowskiego VII Triennale Sztuki Sacrum – „Dom - droga istnienia”, co anonsuje okładka. Wewnątrz prezentowane w czasie

konferencji referaty wraz z ilustracjami, reprodukcje dzieł sztuki oraz fotografie z wystaw imprezy. W numerze także noty o autorach oraz *summaries* w języku angielskim.

Poświęcone VII Triennale Sacrum „Konteksty”, to lektura przedstawiająca problematykę domu w różnych aspektach, wciągająca w temat atrakcyjnie podaną wiedzą oraz inspirująca do refleksji. W pięknym tekście Krzysztofa Koniecznego „Las - dom”, w podrozdziale „Tajga - dom srogi, dom piękny”, czytamy m. in.: „To dom dwóch światów: przyrodniczego piękna i ludzkiej kaźni. /.../ Każdy krok po nasiąkniętych wodą poduszkach torfowców przypomina o wchłoniętej w nie krwi. Tajga pozostanie na zawsze moim domem historii, tej naturalnej, ale i tej najbliższej lagiernej. Piękna i sroga.”



Pośród fotografii Wojciecha Prażmowskiego najbardziej wzruszają chłopcy z Bytomia



Zachwycająca prostotą martwa natura Jerzego Lewczyńskiego



Na drugim planie krzyż ułożony z fotografii Zofii Rydet



„Śląskie rodziny” częstochowianina Jacentego Dędką



Kolor wymyślili *MALARZE*

z Piotrem Dłubakiem
rozmawia Dominika Radkowska

zdjęcia autorki

Dominika Radkowska: Kiedy ujawniło się Twoje zainteresowanie fotografią – to było w trakcie nauki w Liceum Plastycznym, czy wcześniej? Czego nauczyła Cię ta szkoła?

Piotr Dłubak: W szkole podstawowej były pierwsze próby fotografowania przy pomocy aparatu Zenit. W czerwcu '79 udało mi się zrobić jedną z lepszych jak dotąd fotografii – było to zdjęcie Ojca Świętego podczas pierwszej pielgrzymki do Polski.

To było zdjęcie reporterskie, robione na gorąco?

Stałem na rogu ulicy. Najpierw przejechałby mnie milicyjny motocykl, potem czajka, gdyby mnie ktoś nie odciągnął. Nie miałem aparatu z silniczkiem, a wykonałem serię jakichś pięciu klatek na sekundę. Kompletny amok. Zresztą w historii fotografii najlepsze zdjęcia zrobili amatorzy.

Co potem? Kiedy były następne zdjęcia?

Potem było liceum i w tym czasie próby z ceramiką i z malarstwem. Sposób nauczania był dość kostyczny i nigdy nie przekonałem się do rysunku. Malowałem palcami, na świadectwie uzyskałem słabą trójkę. Zwracałem się w kierunku ceramiki, lecz po szkole nie udało mi się założyć pracowni. W tym czasie były też eksperymenty towarzyskie, bardzo wiele różnych doznań, za wyjątkiem tych „mocnych”. Interesowało mnie prawie wszystko. W wieku 24-

25 lat zacząłem na dobre zajmować się fotografią na skutek niemożności realizowania się w innych działaniach.

Zrezygnowałeś z nich świadomie, czy coś Ci je uniemożliwiło?

To było przekonanie o braku warsztatu plastycznego, literackiego oraz muzycznego. Fotografia wydawała mi się rzeczą najłatwiejszą, później okazało się, że wcale tak nie było, ale to już inna historia.

A decyzja o wyborze Liceum Plastycznego była następstwem zainteresowania fotografią?

Nie, to była konsekwencja faktu, że jestem dyslektykiem i dysgrafikiem i prawdopodobnie nie skończyłbym żadnego liceum, gdzie jest przyswajana spora ilość konkretnej wiedzy. Poza tym w szkole podstawowej moja nauczycielka, pani Irmina Majzner, wysyłała moje prace z dobrym skutkiem na konkursy plastyczne.

Zdjęcia wywoływałeś sam, pracując nad nimi również w ciemni?

Ależ oczywiście. Wszystkie czarno-białe fotografie zawsze odbijałem sam. Teraz wywołuję tylko filmy, a resztę zlecam specjalistom, którzy robią duże powiększenia.

A kiedy zacząłeś tworzyć fotografie, w których kreujesz właściwą sobie rzeczywistość, realizujesz swoje wizje?

Hmm, to się chyba później okaże. Po twórcy fotografii zostają trzy-cztery prace, które są ważne. Nie wiem czy ja zrobiłem takie fotografie.

Mam na myśli to świadome robienie zdjęć artystycznych, kiedy chcąc sportretować człowieka brałeś tkaninę, dziwne narzędzie z warsztatu, płachtę pogniecionego papieru, kierowałeś światło i przy pomocy tych środków w pracy z modelem powstawało dzieło wizualne.

Takiej „iluminacji”, że człowiek już rozumie, doznawałem kilkakrotnie. Wydawało mi się za każdym razem: oj taak, już wiem, to trzeba tak. Może przyjdzie jeszcze jedna przed wrześniem.

Wystawa, którą organizujesz we wrześniu w „Zachęcie” jest wystawą jubileuszową. Jakie liczby towarzyszą temu jubileuszowi?

To dwie wystawy – jedna poświęcona serwisom fotograficznym do spektakli teatralnych, których wykonałem już ponad sto, nie tylko dla teatru częstochowskiego. Znajdzie się ona na piętrze Konduktorowi i będzie zatytułowana „100”. Przed jej otwarciem teatr Mickiewicza zaprezentuje spektakl „Wariacje Bernhardtowskie” w reżyserii Gabriela Gietzky'ego. A w sali na parterze będzie pokazywana retrospektywna wystawa moich czarno-białych portretów – „The last show”.

Dlaczego nadałeś wystawie tytuł „The last show”? Czyżbyś zapowiadał schyłek Twojej pracy artystycznej? Nie ma czegoś takiego jak ciągle działający imperatyw tworzenia na nowo?

To jest przejaw osiągnięcia masy krytycznej wobec tego co się dzieje. Skończyła się ciekawość, poznawanie, już mnie nic nie zaskakuje. Oprócz tego drażni mnie marginalizacja sztuki. Wszystko staje się użytkowe – pod kolor dywanu, wnętrza, czy na życzenie gazety, żeby sfotografować jakiegoś VIP-a. Myślę, że trzeba wiedzieć, kiedy zejść ze sceny.

Jeśli mogę powiedzieć coś jako widz – to co nam pokazujesz za każdym razem – dla mnie jako odbiorcy, jest zawsze świeże. Nie widzisz, że-

byś się powtarzał, wypalał. Każde Twoje nowe zdjęcie oglądam z przyjemnością, bo – znowu i znowu – widzę coś ciekawego, ciągle na nowo zaskakujesz.

No i dobrze, właśnie dlatego trzeba w tym momencie ogłosić, że to ostatni pokaz.

W twoich pracach widzę ogromny perfekcjonizm. A wiem, że perfekcjonizm nie jest łatwo...

No wiesz, to jest Twoje stwierdzenie. Ja widzę taką masę błędów i po każdej sesji przeżywam taką frustrację, której nie życzę żadnemu twórcy.

Większość Twoich prac to fotografie czarno-białe. Jeśli używasz koloru, to...

...to jest na zamówienie tych, którzy płacą i oczekują, żeby było wesoło.

Więc do czego on służy?

Kolor? Do niczego. Wymyślili go malarze.

A kolory widziane w naturze działają na Ciebie?

Tak. Wschód i zachód słońca jest cudem.

Najwięcej jest w Twoim dorobku fotografii portretowej i teatralnej. A jakiego rodzaju fotografii nie uprawiasz, świadomie z niej rezygnując?

Tej niezwiązanej z ludźmi. Interesuje mnie człowiek i tego się trzymam. Bardzo chętnie również portretowałbym zwierzęta, a zwłaszcza psy.

Przedmiot, pejzaż - jest Ci obcy?

Ograniczam się do bezzapisowej kontemplacji.

Jakimi środkami wpływasz na portretowane osoby, żeby wydożyć to co Cię interesuje?

Perswazją, groźbą i szantażem. Nie wiem czy mi się w ogóle udaje wpływać na kogokolwiek. Chyba raczej jestem ignorowany, a później to przechodzi w litość i w końcu coś mi się udaje zrobić.



Najefektowniej wyżywasz się artystycznie w portretach kobiet. Co w nich widzisz?

Zło, pokusę, same kłopoty.

Piękno też widzisz?

Piękno wszystko maskuje.

Sztuki wizualne mówią obrazami, ale na pewno nieraz zdarzyła się konieczność obrony Twoich prac przed niezrozumieniem, kiedy pokazywałeś kobiety nie całkiem ubrane.

Ja nie robię aktów. Zdarzyło się to może dwa razy, na wyraźną prośbę. Tak się postrzega, że jak jest niezastłonięty biust, to jest akt. Ja nie kwalifikuję swoich fotografii do aktów, nie mam aspiracji, żeby je robić. Ludzie mają skojarzenia proste. Widzimy jaki przekaz daje telewizja, jak wyglądają osoby w kolorowych gazetach. Czarno-biała artystyczna fotografia staje się zajęciem coraz bardziej elitarnym. Nawet nie staram się pokazywać tego co robię, bo po co? Jak ktoś chce, sam musi mnie poszukać.

Na podwójnych portretach znanych częstochowian, w dwóch cyklach fotograficznych – „Ojcowie i córki” i „Ojcowizna” zwróciłeś uwagę na więzi rodzinne.

„Ojcowie i córki” to łagodny, serdeczny przekaz, natomiast „Ojcowizna” – trochę trudniejszy i pod prąd. Nie jest to efektowna wystawa. Tego typu działania mogą mieć w sobie siłę i dopiero z biegiem lat potrafią stawać się atrakcyjne. Fotografia przez upływ czasu zyskuje. Wydaje mi się, że to będzie pamiątka dla osób, które zechciały wziąć udział w tych projektach.

Można powiedzieć, że pracujesz z ludzką duszą i ciałem. Jakie emocje temu towarzyszą?

Z mojej strony są to emocje wszelakie, nie wiem, co ludziom towarzyszy. Jak zaczynam zdjęcia, wydaje mi się, że jestem analfabetą. Nie umiem nic, jestem przerażony, nic nie wychodzi. Początek sesji jest bardzo trudny.

Więc stopniowo dochodzisz do tego co mogłoby Cię zadowolić?

Czasem się to udaje, a czasem nie. Powiem Ci, że z tym jest różnie, jest to zaskakujące i coraz bardziej chodzi swoimi drogami. Ja już właściwie jestem tylko świadkiem tego, co sam robię.

W której półkuli mózgowej powstają Twoje wizje? Słowem – planujesz, analizujesz, czy zdajesz się na intuicję?

Taaak, planuję, a później wszystko jest dokładnie odwrotnie. Trzeba zdać się na intuicję, być bardzo pokornym i czasem coś się uda.

Co Cię najbardziej drażni w pracy z ludźmi?

To co mnie drażni jest właściwie we mnie. To jest brak możliwości nawiązania kontaktu. Ta wina jest po mojej stronie. Jeżeli nie umiem złapać z portretowanym kontaktem, pojawia się irytacja, ale ona dotyczy mnie. Natomiast ludzi tylko podziwiam, bo są dziełem skończonym. Każdy jest tak bardzo inny, że aż trudno uwierzyć.

A co kochasz w tej pracy?

Moment efektu. Ale po piętnastu minutach mogę stwierdzić, że ten efekt jest chybiony i wpadam w rozpacz, a później znowu zmieniam zdanie. To jest

taka uzależniająca huśtawka, doświadczenie nałogowe. Na razie zwycięża euforia - żyję.

Twoi mistrzowie i mistrzynie w dziedzinie fotografii, filmu, malarstwa?

Pewnie zaczynało się właśnie od fascynacji, które utkwily gdzieś głęboko. Będąc z rodzicami w sopockiej BWA widziałem wystawę fotografii amerykańskiej. Pamiętam tylko niesamowite wrażenie, grozę ziejącą z tych fotografii. Nie wiem co to byli za twórcy, kiedyś muszę to sprawdzić. To był pierwszy kop, który mi uświadomił, że świat czarno-biały jest całkiem inny. Później poznałem fotografie Andrzeja Chmielewskiego. To był drugi impuls. Andrzej potem mnie uczył. To wpływy bezpośrednie. A rozglądając się szerzej mogę przywołać sylwetkę Michaela Ackermanna z Nowego Jorku, który mieszkał w Krakowie, fotografował Śląsk, stworzył album o Indiach. Wszystko co robi jest niesamowite, mroczne i intrygujące.

A wiesz, że widzę jego wpływ w kilku nowszych fotografiach z cyklu „Moment”? Nie wiem, czy jesteś tego świadomy, ale właśnie zastanawiałam się skąd poruszenia w kadrze, których wcześniej w Twoich zdjęciach nie było.

One były, ale wynikały z moich błędów technicznych, złego ustawienia ostrości i z nonszalancji. Masz rację – staram się jak najmniej myśleć przy fotografiach, próbuję korzystać z intuicji i przypadku.

Bardzo mi się podobają też prace Franceski Woodman – fotografi amerykańsko-włoskiej, która popełniła samobójstwo w bardzo młodym wieku. Mam duże problemy z określeniem tego, co mnie ciągnie do twórczości Joela-Petera Witkina. Jego zdjęcia są chyba poza jakąś granicą, ale jest w nich niespotykana ekspresja.

Jeśli chodzi o obrazy filmowe, cenię filmy Carla Theodora Dreyera,



a szczególnie „Słowo” i „Joanna d`Arc”. Także obrazy niekoniecznie wybitnych reżyserów, chociażby „Sjesta” – film, który zdarzył się Mary Lambert. Ważne są dla mnie filmy Tarkowskiego – „Zwierciadło”, „Andriej Rublow”, „Stalker”, czy „Ofiarowanie”.

Ostatnio wielkim odkryciem jest dla mnie kino Andrieja Zwiagincewa. „Powrót” i „Wygnanie”. Mógłbym jeszcze wymieniać wielu reżyserów: Bunuela, Antonioniego i Kurosawę, ale byłaby to rozmowa tylko o kinie.

Trzeba jeszcze dodać „Panny z Wilka” Andrzeja Wajdy, „Rękopis znaleziony w Saragossie” Jerzego Hassa i serial „Życie Kamila Kuranta” Grzegorza Warchoła.

Co jest dla Ciebie ciekawego w pracującej maszynie teatralnej?

To, że teatr trwa – nie zaszkodził mu film, internet i inne atrakcje. Jest to przedziwne misterium, w którym wciąż nowi widzowie chcą brać udział. Również na próbach są wielkie emocje, które można zarejestrować aparatem. Gdy

wybierałem zdjęcia z archiwum do wystawy „100”, przeżyłem swoistą podróż przez te wspaniałe chwile, jakie były mi dane w trakcie wykonywania zdjęć. Zatrzymane obrazy przywołały emocje z inscenizacji Adama Hanuszkiewicza, Pawła Wodzińskiego, Katarzyny Deszcz i wielu wybitnych twórców. Mam nadzieję, że odbiorcy tej wystawy przeżyją to samo.

Jaka realizacja otwiera Twój dorobek w dziedzinie serwisów ze spektakli teatralnych?

„Księżniczka czardasza” wystawiana w Bytomiu w `89 roku, gdzie śpiewała moja siostra Ewa. Reżyser Stefan Szlachtycz pozwolił mi fotografować próbę generalną, a w trakcie nawet pokrzykiwał: „Rób teraz!”.

A ze spektakli realizowanych w Częstochowie?

Spektakl „Szewcy” w `93 roku w reżyserii Ryszarda Krzyszychy.

Czy nowe technologie zmieniły sposób Twojej pracy?

Teraz przyjemność fotografowania w teatrze jest większa. Robię zdjęcia z akcji będąc razem z aktorami na scenie i ma to znamiona fotoreportażu. Odbywa się to oczywiście na próbie generalnej, przed premierą. Kiedyś aktorzy powtarzali wyrwane z kontekstu sceny do moich fotografii, teraz aparat cyfrowy daje mi swobodną możliwość robienia ich „w akcji”.

Kiedy zacząłeś używać aparatu cyfrowego? Pamiętam, że długo tego unikałeś.

Jakieś cztery lata temu, ale równolegle używam analogu średniego formatu. Cyfrowy aparat jest wygodny, bo fotografie mogą być natychmiast wywołane i widać powstały efekt. A, że jest to brzydkie i słabej jakości, to jest cecha naszych czasów. Płyta kompaktowa też ma bardzo słabą dynamikę w porównaniu z analogową.

Profesjonalnie, bo dla amatorów

Piotr Nita

Wciąż rosnąca popularność finansowania przedsięwzięć artystycznych za pomocą dotacji, świadczy o skuteczności tej formuły. Korzystają z niej instytucje kultury, korzystają organizacje pozarządowe, a także osoby fizyczne. Cieszącym się wieloletnią tradycją konkursem dotacyjnym dla osób fizycznych jest CARA. Pierwszą edycję CARA (to skrót od Centrum Amatorskiego Ruchu Artystycznego) zorganizowano w 1996 roku. Od samego początku organizuje go OPK Gaude Mater, więc częstokroć konkurs określany jest jako „dofinansowanie z Gaude Mater”.

Aplikuje się tam łatwo, co powinno zachęcić zwłaszcza młodych artystów i animatorów kultury do przystąpienia do konkursu. Formularz to prosty druk, którego wypełnienie nie przysparza trudności nawet osobom zupełnie niedoświadczonym. Można powiedzieć, że wniosek jest wręcz intuicyjny. Nie powinno to dziwić, gdyż - zgodnie z nazwą - konkurs kierowany jest do amatorów.

Rokrocznie organizowane są dwie tury: wnioski na pierwszą składają można wiosną, na drugą - latem, w tym roku do końca sierpnia. O wynikach decyduje komisja, Rada ds. Amatorskiego Ruchu Artystycznego, powoływana raz na dwa lata przez Zarząd Miasta Częstochowy. Do zadań Rady należy: opiniowanie wniosków w sprawie udzielenia pomocy finansowej przedstawicielom amatorskiego ruchu artystycznego, podział przyznanych na dany rok budżetowy środków finansowych, planowanie środków na kolejny rok

budżetowy oraz - co istotne - współdziałanie ze stowarzyszeniami skupiającymi artystów amatorów i opracowanie perspektywicznego planu działania związanego z rozwojem amatorskiego ruchu artystycznego (za regulaminem CARA dostępnym na www.gaudemater.pl). Brzmi to zachęcająco.

Rada dysponuje publicznymi środkami przekazanymi przez Wydział Kultury i Promocji Urzędu Miasta Częstochowy jako dotację celową. W 2009 roku była to kwota 30 tys. zł. By wieczorek poetycki nie musiał konkurować z koncertem, a ten z przejazdem dzieci na konkurs taneczny (bo takie inicjatywy także ubiegają się o wsparcie) wydzielone zostały kategorie, w których się aplikuje: muzyczna, fotograficzna, filmowa, taneczna, literacka. CARA finansuje także cykliczne działania, jak np. Turniej Jednego Wiersza oraz spotkania Klubu "Złota Jesień", jednak każdorazowo startują one w konkursie i przechodzą przez taką samą procedurę jak inne wnioski.

Ze względu na prostotę konstrukcji wniosku, konkurs ten pełni też funkcję edukacyjną - wdraża amatorów do pisania wniosków dotacyjnych, do organizowania dokumentacji swoich działań, do zbierania opinii, referencji, recenzji, wreszcie przyucza do planowania swoich działań w czasie. Tym bardziej warto zatroszczyć się o przeprowadzenie konkursu precyzyjnie i regulaminowo, by stworzyć pozytywny przykład praktyki ubiegania się o dofinansowanie. Na barkach organizatorów spoczywa odpowiedzialność za ową edukację.

Dlatego dziwią mnie takie praktyki jak tegoroczna. Konkurs w pierwszej edycji 2010 roku, został ogłoszony co najmniej dyskretnie.

Choć dyrektor Ośrodka, pani Małgorzata Nowak, zapewnia, że powiadomienie o konkursie zostało rozesłane do szkół oraz umieszczone na stronie internetowej Urzędu Miasta i Wydziału Kultury i Promocji, to śladu po takich ogłoszeniach znaleźć nie sposób. Nie widać również tekstu informacyjnego na stronie Gaude Mater - co nawisem mówiąc jest już i tak dosyć archaicznym i raczej niewystarczającym narzędziem promocyjnym. Tak dyskretnie ogłoszenie konkursu, to, biorąc pod uwagę dysponowanie publicznymi środkami, istotne niedopatrzenie. Skoro zatem organizatorzy nie promują CARA, może warto, w trosce o powszechny dostępność do publicznych środków, napisać choćby skromny artykuł i wytknąć niedostatki pożytecznego w sumie konkursu. Nie wszyscy bowiem wiedzą o kalendarzu konkursów dotacyjnych obowiązującym w Częstochowie, a jeżeli już na pamięć go znają, to trudno wciąż nazywać ich amatorami. Dygresję tę pozostawiam również do przemyślenia.

W przypadku konkursu grantowego organizowanego np. przez jakąś fundację zasady ustala sama fundacja, bo dysponuje własnymi środkami i chce je rozdać wedle własnego uznania - nikt tu nie ma nic do powiedzenia. Co innego jednak w przypadku środków publicznych. Te obwarowane są zarówno przepisami jak i kontrolą. Wątpię, że chodzi tu o brak kompetencji. Gaude Mater organizuje przecież festiwal muzyczny o budżecie 2,6 mln złotych [za Gazetą Wyborczą, Częstochowa - przyp. aut.] - cóż przy tym znaczy te 30 carowskich tysięcy? Może w takim razie kadra Gaude Mater nie znajduje czasu i należytej uwagi dla projektów mniejszych (ama-

Stosujesz obróbkę zdjęć za pomocą programów graficznych?

Kosmetycznych poprawek trzeba czasem dokonać. Unikam głębszych modyfikacji.

Zapytam o muzykę, która też od dawna Ci towarzyszy. Skąd u Ciebie upodobanie do słuchania trudnych form muzyki klasycznej?

Fanem rocka od strony muzycznej nigdy nie byłem. To przez Tie Break'owców, którzy pokazali mi, że muzyka to coś więcej niż proste akordy. Jak się aktywnie słucha, to gust ewoluuje, niekoniecznie w kierunku nowoczesności. Aktualnie jestem na etapie odkrywania polskiej muzyki ludowej.

Czy na te Twoje gusta ma też jakiś wpływ siostra, która jest solistką opery?

Może przez sam fakt, że widziałem większość oper, w których śpiewała, bywałem w teatrze bardzo często. Teraz w tym gatunku toleruję tylko Richarda Straussa, Wagnera i jedną operę Szostakowicza.

Mieszkasz w Częstochowie od urodzenia. Jak w Twoich oczach wygląda to miasto?

Patrzę na nie z pewnym żalem - jakoś mało się tutaj udaje. Nie ma wizji rozwoju. Obawiam się, że na obrzeżach ziem śląskich nie przynależymy tak naprawdę do nikogo i bez własnego województwa będziemy tracić coraz bardziej na znaczeniu.

A toczy się tu według Ciebie jakieś życie kulturalne?

Z Częstochowy wywodzą się - i wielu z nich wbrew wszystkiemu pozostaje tutaj - wybitni muzycy, malarze, projektanci, plastycy wszelkich specjalności. Dla mnie to miasto sztuki i kultury. Nie nudzę się tu nigdy. Jak nie ma wystawy czy koncertu, to sam kontakt towarzyski z artystami jest dla mnie wielką przyjemnością.

Od paru lat działasz w Regionalnym Towarzystwie Zachęty Sztuk Pięknych w Częstochowie, od zeszłego roku jako jego wiceprezes. Czy dzięki temu zyskałeś poczucie, że twórcy mają wpływ na to jak kultura jest postrzegana i traktowana?

Tak, Stowarzyszenie jest szansą dla nas wszystkich. Konduktorownia, którą teraz opiekuje się ZGM, daje wielkie możliwości skupienia się na artystycznych realizacjach, a nie jest, jak dotychczas, obciążona walką o byt finansowy. Każdy kto ma pomysł i inicjatywę może do nas przyjść i realizować się w dziedzinach muzycznych, plastycznych i literackich. Szereg wystaw czołowych polskich artystów ugruntował jeszcze bardziej naszą pozycję. Należy też wspomnieć o wspaniałej kolekcji sztuki współczesnej, którą Zachęta stale uzupełnia. Wydaje mi się, że Konduktorownia może być „światłem w tunelu”. Częstochowianie też zaczynają nas doceniać.

Co będziesz teraz robił, jeżeli zamierzasz zakończyć działalność stricte artystyczną?

Co będę robił? To co robię. Nic nie będę zmieniał.



Piotr Dłubak - od lat związany z Częstochową, i Teatrem im. A. Mickiewicza, portrecista ludzi sztuki i kultury, autor czarno-białych cykli fotografii kobiet, m. in. do pierwszego kalendarza reprezentacji Polski siatkarek 2007.

Od 3 września 2010 w Konduktorowi będzie można oglądać jego dwie retrospektywne wystawy: fotografii i plakatów teatralnych - „100” i czarno-białych portretów - „The last show”.



torskich); może w związku z tym powinna skupić się na inicjatywach dużych i hucznych, a powstrzymać się od działań drobnych; może nadszedł czas na zmiany.

Misja tego konkursu i jego znaczenie jest doniosłe – krzepić amatorski ruch twórczy, pomagać realizować projekty z większym rozmachem, wspierać promocyjnie i prestiżowo raczkujące działania. Częstochowscy animatorzy i artyści właśnie w ramach CARA stawiają pierwsze kroki w stronę profesjonalizacji swoich działań, warto więc zadbać o atmosferę, w jakiej to przebiega. Może przyszedł czas na zmianę podmiotu organizującego konkurs? Myślę, że w Częstochowie znalazłyby się instytucje, które dysponują odpowiednimi warunkami oraz cieszą się wystarczającym kredytem zaufania Urzędu Miasta, by CARA poprowadzić.

Składającym wnioski radzę we własnym zakresie zadbać o dopełnienie formalności wobec swojej aplikacji. Jakkolwiek często słycać biadolenia nad rozrostem biurokracji i przeklinania nad ilością mnożących się papierków, to jednak w tym przypadku papierologia ma uzasadnienie w mechanice wnioskowania. Mało tego - zaopatrzenie się we własną kopię wniosku, na której pracownik Gaude Mater pokwituje przyjęcie oryginału, uważam za niezbędne (mimo, że nie jest to wymagane przez organizatora). Nie odnotowuje się złożonych wniosków, wystarczy więc zamieszczenie, czy też bałagan w dokumentacji, by nasz wniosek bezpowrotnie wsiąkł w stos dokumentów zupełnie z CARA niekojarzonych. Prośba o wystawienie potwierdzenia przyjęcia wniosku wydaje się zatem uzasadniona i pracownicy OPK z pewnością zrozumieją jej sens.

Młoda Estrada on Promenada - wolny mikrofon !!!

Rafał Salamucha

Minał rok od kiedy po raz pierwszy częstochowianie w Amfiteatrze przy Promenadzie im. Czesława Niemena mogli posłuchać i zobaczyć młodych artystów. Już kolejny sezon młodzi ludzie z całego regionu mogą prezentować tutaj swoje talenty. To dla nich została stworzona ta impreza. Prezentacje odbywają się co dwa tygodnie przez całe wakacje. Pomysłodawcą i realizatorem przedsięwzięcia jest wokalista znanego i lubianego reggae'owego Nefre, czyli Piotr „Dziker” Chrząstek.

Piotr zapytany o genezę tego zajścia opowiada: „Amfiteatr kiedyś, w latach sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, znajdował się jeszcze w innym miejscu, ale zawsze na Promenadzie. Ale już w latach osiemdziesiątych, kiedy byłem dzieckiem i chodziłem z tatą po Promenadzie, to ten amfiteatr tutaj żył. Pochody pierwszomajowe odbywały się z Promenady. W Lasku Aniołowskim tętniło życie. Promenada niejednokrotnie była ważniejsza od Alej NMP, bo w Alejach dużo się działo, ale tylko jeżeli chodzi o pielgrzymki. Wykorzystałem moment kiedy został odbudowany. Przez kilkanaście lat, opustoszały, zdewastowany, nagle mógł żyć. Mogłem go ożywić i tak też postanowiłem. Wiedziałem, że MOSiR dostał amfiteatr. Z racji tego, że pracuję w Wydziale Kultury i Sztuki Urzędu Miasta nie było trudno porozumieć się z MOSiR'em i ożywić amfiteatr w sposób taki, żeby dać szansę młodym artystom. Pomysł zrodził się już wiele lat temu w mojej głowie. Kiedy sam byłem małym artystą i nie miałem sali prób. Artyści nawet jeśli mają gdzie próby robić, nie mają się gdzie pokazywać, tu mogą. Mogą postawić swój pierwszy krok. Nawet drugi i trzeci. Tu jest wolny mikrofon. Wszyscy wiedzą o co chodzi. To jest scena dla wszystkich. Scena nie tylko dla amatorów, ale i dla profesjonalistów. To wszystko jest za darmo, scena, światło i dźwięk. Jest to bardzo szlachetna idea. Amfiteatr i pomysł jest po to żeby dać szansę młodym, początkującym, artystom, ale nie tylko. Wszystkim osobom utalentowanym, które chcą coś pokazać, a nie mają gdzie tego zrobić.”

Początkowe imprezy Młodej Estrady gromadziły niewielką ilość widzów. Artyści na pierwszym przeglądzie narzekali na złe warunki techniczne, a i aura nie dopisała i rozżłościła wykonawców, których było więcej niż publiczności. „Dziker”, organizator zdarzenia tak to komentował rok temu: „Bardzo dużo oszczerstw w moja stronę padło. Mimo tego szlachetnego celu. Nikt nie patrzył na ideę. Miałem duże problemy z nazewnictwem, ponieważ na początku Młoda Estrada on Promenada,

nazywała się „Bujamy Miastem”. Co od razu nakreśliło niektórym forumowiczom internetowym zamysł, że to jest bardzo podobne do „Ruszamy Miastem”, mojego kolegi Cezarego Łopacińskiego. Czarek też był zaskoczony, że ludzie się burzą. Stwierdziliśmy z Czarkiem, że nazwa zostanie zmieniona. Niby głosy ucichły. Potem zaczęła się nagonka o ten pierwszy raz. Padał deszcz. Niestety amfiteatr jest niezadaszony. Będę walczył o to, żeby już w przyszłym roku było zadaszenie. Gdyby nie ten deszcz, to nic złego by się nie stało. Przyszłoby 80 do 100 osób, bo na tyle liczyliśmy. Potem to przeszło nasze najszersze oczekiwania, bo na kolejne cykle przychodziło po kilkadziesiąt osób. Na pierwszym spotkaniu było 60 osób, zaczął padać deszcz, który wygonił widzów i artystów. Szkoda tylko, że młodzi ludzie, którym daję szansę, zachowują się nie *fair* wobec mnie, narzekają, robią wielką gwiazdorkę, domagają się odsłuchów. Co do odsłuchów, nie dysponowaliśmy nimi, ponieważ MOSiR ich nie ma. Tego nie wiedziałem. MOSiR dał bardzo dobry sprzęt, po 1000 wat na stronę. Największe gwiazdy 20 lat temu, typu Omega z Węgier, która grała tu w Amfiteatrze, miała 1000 wat na stronę. Ci młodzi raperzy bardzo mnie oczerniali w mediach. Ich zdaniem sugerowały się potem media. Mnie to bardzo dziwi, bo jestem od kilkunastu lat na scenie i grałem ponad 100 koncertów w o wiele gorszych warunkach. Nigdy nikomu nie ubliżyłem, a szczególnie osobie, która daje mi szansę. To jest dla mnie niezrozumiałe. Były

też pretensje, że padał deszcz...”

Jednak z imprezy na imprezę popularność przedsięwzięcia rosła, a co za tym idzie rosła też rzesza widzów i poprawiały się warunki sprzętowe dla zespołów. Kolejne imprezy gromadziły już po kilkaset osób. Młodzi bardzo pozytywnie oceniają tę imprezę. - Dla mnie ta impreza jest naprawdę ważna, bo mogę się pokazać wszystkim ludziom. Jest to lansowanie młodych talentów. I warto się pokazać. Jest to bardzo dobry pomysł – zachwalała ją Kasia Klajn prezentująca taniec współczesny. O wyjątkowości tego wydarzenia zaświadcza muzyk hip-hopowego składu 42-200: „Jest sens robienia takich imprez. Możemy się pokazać. Pokazać to co robimy. Takich imprez w Częstochowie jest bardzo mało, dlatego ta, jest wyjątkowa.”

Zespół The Potters (obecnie The Vermons) także pozytywnie wypowiedział się o przeglądzie. - Przyjemnością było zagrać w Amfiteatrze. Doczekaliśmy się, miejsca gdzie można robić koncert z prawdziwego zdarzenia. Ja się Cieszę, że jest taka impreza. Trzeba to miejsce promować – powiedział gitarzysta Przemek Wosiński.

O jej wyjątkowości świadczy fakt, iż może pokazać się tu każdy. Każdy kto ma coś do powiedzenia z artystycznego punktu widzenia. Przez kolejne edycje obserwowałem tancerzy solowych, zespoły taneczne, muzyków rockowych, heavy metalowych, solistki prezentujące swoje możliwości wokalne oraz składy hip-hopowe. Na pytanie czy było to zamierzone Piotr Chrząstek mówi: „Tak oczywiście.

Cała idea cyklu ma na celu prezentowanie artystów nie tylko związanych z muzyką. Tu jest wolna scena, wolny mikrofon. To jest dla wszystkich. Niech się zaprezentują ludzie którzy robią całkiem nowe odjechane dźwięki. Taniec jak najbardziej i pod każdą postacią, nie tylko breakdance, ale też taniec towarzyski. To podoba się ludziom. Niech widzą, że młodzi czymś się interesują. Byli tu także ludzie żonglujący piłką oraz robiący *fireshow*.”

Występowanie obok siebie przedstawicieli różnych dziedzin artystycznych nikomu nie przeszkadza. Publiczność przyjmuje ciepło wszystkich. Po swoim występie Jakub Dyl, wokalista grupy Absolutja prezentującej ostre brzmienie rockowe, wyznaje: „Nie do końca byliśmy pewni czy nasz występ przejdzie. Ale grupa znajomych dopisała i myślę, że w miarę się bawili. Mam nadzieję, że się tu jeszcze pokażemy.”

A jak trafić na młodą estradę? - Nie ma jakiejś specjalnej selekcji, wszystko jest „za free”. I artysta też musi się z tym liczyć, że gra za darmo, że tutaj nie ma nikt za nic płacone. Musi napisać email do Wydziału Kultury Urzędu Miasta ks@czestochowa.um.gov.pl. Oni go prześlą do mnie. Ewentualnie na mój mail: pchrzastek@czestochowa.um.gov.pl. Zgłaszamy się cały rok, bo już mam wizję co zimą robić w częstochowskich klubach. – zachęca Piotr „Dziker” Chrząstek, organizator i pomysłodawca Młodej Estrady.

Do zobaczenia na Promenadzie.

Nie wiem jak by to było, gdyby w domu nie było muzyki

z Anną Andrzejewską rozmawia Rafał Salamucha

Na ile obecny jest w Twoim życiu Jazz i jak to wygląda w praktyce? Czy jazz to dla Ciebie tylko muzyka?

Jazz jest dla mnie sposobem na życie. Jeżeli chodzi o praktykę, to co tydzień jeżdżę na Akademię Jazzową do Katowic, na prywatne lekcje. Jazz to warsztaty, od których zaczęłam. Tam miałam z jazzem pierwszy kontakt. Miałam wtedy dwanaście lat. Tak się zaczęło i trwa do tej pory - co roku w wakacje jeżdżę do Chodzieży i do Puław.

Jak zaczęła się przygoda ze śpiewaniem i jak doszło do tego, że zdecydowałaś się na wykonywanie muzyki jazzowej?

Przygoda ze śpiewaniem ciągnie się od moich wczesnych lat, już w podstawówce śpiewałam. Gdy miałam dwanaście lat pierwszy raz pojechałam na warsztaty jazzowe. Od pięciu lat konsekwentnie tam jeżdżę. Na warsztaty wysłali mnie rodzice. Byłam strachliwa, niepewna siebie i bardzo się bałam. To był Chorzów - warsztaty jazzowe. Poznałam wtedy Bogdana Hołownię, z którym przyjaźnię się do dziś i który jest dla mnie muzycznym tatą. Pokazał mi wszystko, wszystkiego mnie nauczył, wprowadził mnie w muzykę. Od tego się zaczęło.

Jesteś już wokalistką zauważaną i nagradzaną. Ale też kształcisz się w Zespole Szkół Plastycznych w Częstochowie na specjalizacji ceramika. Czy te dwie dziedziny artystyczne uzupełniają się w Twoim życiu, czy sztuki plastyczne mają wpływ na muzykę i odwrotnie, a może to są dwie osobne drogi?

Nie, wszystko się jakoś łączy. Nigdy nie miałam problemu, że to są dwie różne dziedziny sztuki. Kiedy jeszcze nie miałam większego pojęcia o muzyce, to pamiętam, że mój nauczyciel w Krakowie, zawsze porównywał muzykę do sztuk plastycznych. Tak mam myśleć. Tak mam na to patrzeć. Na pewno one się bardzo dobrze uzupełniają. Zasady w muzyce i plastyce są podobne. Bardzo podobnie trzeba się nimi kierować tworząc jakieś prace czy śpiewając.

Powiedziałaś kiedyś że „usiłujesz śpiewać jazz”. Czy możesz to wyjaśnić, dlaczego usiłujesz, a nie śpiewasz jazz?

Mówię tak, bo wokalistką jazzową siebie nazwać nie mogę. Bardzo wielkie osobistości są tak nazywane, dla mnie to jest jeszcze zbyt odległe. Wciąż się uczę, nie mam wykształcenia muzycznego. Zawsze podchodziłam do siebie krytycznie – ja nie jestem muzykiem, ja usiłuję śpiewać jazz.

W 2008 roku na Ogólnopolskim Festiwalu Dobrej Piosenki im. Kaliny Jędrusik „Kalinowe noce, kalinowe dni” w Częstochowie wygrałaś nagrodę GRAND PRIX mając szesnaście lat. Co sobie wtedy pomyślałaś? Stawałaś do konkursu z osobami, które miały większe doświadczenie sceniczne i muzyczne.

Myślę, że jeśli chodzi o doświadczenie, to ja już wtedy też trochę śpiewałam. Ale to była pierwsza edycja, gdzie startowały profesjonalne aktorki. Dowiedziałam się o konkursie wcześniej, później zapomniałam. Tydzień przed końcem terminu nadsyłania zgłoszeń, byłam w Gaude Mater na jakiejś wystawie czy koncercie i pan Robert Sękiewicz powiedział mi, że jeszcze przez tydzień przyjmują zgłoszenia. Wtedy w tydzień przygotowałam repertuar: dwie piosenki. Nagrałam je, ale byłam nastawiona bardzo sceptycznie. To nagranie było złe, nieprofesjonalne, tragicznie brzmiało. Byłam pewna, że nawet się nie dostane do tego konkursu. Ku mojemu zaskoczeniu jednak się udało, ale nadal byłam zestresowana tym, że te wszystkie aktorki brały udział w konkursie. Teraz już przychodzą na konkurs osoby młodsze. Wtedy ja byłam najmłodsza. Cała reszta to były osoby ponad dwudziesto, trzydziesto i czterdziestoletnie nawet. Bardzo się bałam. Podeszłam do tego bardziej muzycznie, zrobiłam jazzowe aranżacje, akompaniował mi Michał Rorat i wszystko tak się zgrało, że mi się udało. Pani Magda Umer bardzo mnie doceniła. Jak się czułam, kiedy wygrałam? To było dla mnie niesamowite. W życiu bym się nie spodziewała, że przejdę do finału w tym konkursie. Okazało się, że jednak.

A jakie refleksje później, kiedy już wygrałaś? Była woda sodowa czy raczej tak na chłodno do tego podeszłaś?

Nie wiem czy to można nazwać chłodem... Może nie woda sodowa, ale strasznie się cieszyłam. Dla mnie



nagrodą nie było Grand Prix, lecz rozmowa z Magdą Umer. To, co ona mi powiedziała o swoich refleksjach, kiedy ja śpiewałam, że od kilku lat jak jeździ na festiwalu nikim się tak nie zachwyciła. To, co później napisano o mnie w gazecie, że jestem odkryciem. To była prawdziwa nagroda.

Występowałaś już z muzykami o dużym dorobku artystycznym m.in. Arek Skolik, Adam Snopek. Czy jest taki wokalista lub wokalistka z którą marzy Ci się zaśpiewać, stanąć na jednej scenie do jednej piosenki?

Kilka dni temu poznałam swoją mentorkę. Jeszcze jak średnio jazz śpiewałam i słuchałam, to rodzice mi pokazali, dali kilka płyt Grażyny Auguścik, która jest dla mnie najwybitniejszą polską wokalistką jazzową. Dla mnie ona śpiewa najpiękniej i mimo swojego wieku jest niezwykle nowatorska. Nią się zawsze inspirowałam. Gdy pojechałam pierwszy raz na warsztaty do Puław, to sięgnęłam po „Don't explain”. Kilka dni temu byłam na jej koncercie. Cały koncert przepłakałam z wrażenia. I to chyba z Nią marzy mi się zaśpiewać. Jeśli byłoby to możliwe w ogóle.

Cyklicznie bierzesz udział, jak już wcześniej powiedziałaś, w spotkaniach wokalistów jazzowych. Jest to przyjemność czy nauka, co ci dają takie warsztaty i czego możesz się tam nauczyć?

Warsztaty to jest akumulator na cały rok. Spotykam ludzi których nie widzę rok, potem się znowu widzimy, i to jest jak chwila dla nas. Poznałam najwybitniejszych jazzowych muzyków, z którymi się teraz koleguję. To jest przyjemność i praca. Praca nieświadoma. Uczę się kilkuset utworów. Dwa tygodnie na warsztatach, to jest jakby się przez cały rok pracowało. Dostaję taki zastrzyk. I sam fakt, że pracuje się z najwybitniejszymi, gra się ze wspaniałymi muzykami, co na codzień nie jest możliwe.

A oprócz warsztatów jak przebiega Twoja edukacja muzyczna?

Kiedyś jeździłam przez trzy lata do Krakowa do pana Romana Michalika. On wiele rzeczy mnie nauczył. Jak na tamten czas dostałam od niego bardzo wiele wiedzy. Potem wołałam być sama. On był bardziej konserwatywny i jakoś przerwały się te lekcje. Od dwóch lat, co tydzień jeżdżę na Akademię do Katowic, prywatnie uczę się u Pani Danuty Sendeckiej.

Czy możesz coś powiedzieć o swoich inspiracjach? Kim się inspirujesz? Na co zwracasz uwagę u tych muzyków?

Różne rzeczy nas kręcą, inspirują. Z jednej strony uwielbiam minimalizm, taką wrażliwą muzykę jaką tworzy Grażyna Auguścik. Jak słucham Ala Jarreau, Bobby'ego McFerrin'a czy innych muzyków, nawet instrumentalistów, staram się uczyć tego co oni robią. „Zgapiać” od nich. Bo to jest najlepsza nauka, nauczyć się czegoś, co robią wielkie postacie. Raz - to jest technika. Umiejętności, których ja jeszcze nie mam. Mam nadzieję, że kiedyś uda mi się osiąść. A dwa - to jak oni interpretują. Najpiękniejsze jest to, że jedną piosenkę mogą zaśpiewać setki osób i każda to zrobi inaczej. Teraz staram się czerpać umiejętności od instrumentalistów, saksofonistów. Saksofon został stworzony do tego, żeby zastąpić wokala. Dlatego teraz staram się mu przysłuchiwać.

A po czyje utwory sięgasz najchętniej?

Myślę, że po standardy jazzowe. Bo jeszcze jestem na etapie standardów. Często nawet nie wiem czyjego autorstwa są te utwory. Często sobie szukam po tekstach. Kiedyś Siebel Kose na warsztatach powiedziała, że piosenkę poznajemy jak drugiego człowieka. Słuchamy, co on mówi. Potem przyglądamy się mu. Kiedy wybieram na warsztaty utwory, które potem interpretuję, to czytam sobie teksty. Także gdy słucham płyty, coś wybieram. Ostatnio odchodzę od standardów i sięgam po utwory Beady Belly. To jest wokalistka jazzo-

wa, ale śpiewa też wyrafinowany pop na dobrym poziomie. Od niej ostatnio czerpię i sięgam po jej repertuar, żeby już było mniej jazzowo.

Jesteś laureatką stypendium twórczego prezydenta miasta dla młodych artystów, ale też jesteś przewodniczącą sekcji kultury w młodzieżowej radzie miasta. Czy według Ciebie Częstochowa daje szansę młodym ludziom na rozwój artystyczny?

Ja nie mogę narzekać. Dostaję dużo. Jestem zaprzyjaźniona z wieloma muzykami i wieloma instytucjami jak Paradoks, czy niegdyś klub Roxy. Nie muszę chodzić po Częstochowie i pytać czy mogę mieć koncert. Trafiam do takiego szczęśliwego miejsca, gdzie mnie zapraszają. Ludzie mnie troszeczkę kojarzą. Dla mnie jest bardzo dobrze.

Jakie są według Ciebie największe zagrożenia dla młodego artysty, wokalisty w środowisku muzycznym? Czy miałaś jakieś doświadczenia z tym związane?

To, co może nas zniechęcić, pogrzyżać, to jest środowisko. My sami możemy sobie robić różne rzeczy. Jeżeli ktoś nas nie strofuje, to będziemy dalej to robić. Odczułam to kiedy miałam dwanaście lat i pojechałam pierwszy raz do Puław. Dostałam tam taką jakby prywatną nagrodę od pewnego studia. Docenili mój występ i podarowali kilka płyt. I wtedy odczułam, że jest kupa osób na warsztatach, które robią wszystko, żeby podcinać skrzydła. Bardzo miło jest osiągać sukcesy na konkursach, ale nienawidzę klimatu rywalizacji. Wtedy zaczyna się wątpić w siebie. A może rzeczywiście coś jest nie tak. Odczuwam to często przez mój wiek. Teraz już troszeczkę mniej, ale jeszcze kilka lat temu słyszałam, że jestem młoda, że tylko dlatego mi się udaje. Albo, że nie powinnam śpiewać takiej muzyki, bo nie dojrzałam do tego, nie dojrzałam do tekstów, że to jeszcze nie jest na mój wiek.



*zdjęcia pochodzą z archiwum Anny Andrzejewskiej

Wolisz krytykę muzyków, czy krytykę od publiczności?

Publiczność jest często taka, że nie krytykuje. Nikt nic nie mówi. Nawet jeśli się nie podoba, to nikt się nie przyzna. Krytykę przyjmować jest bardzo trudno. Zdaję sobie sprawę z wielu moich niedoskonałości, kiedy śpiewam. Wiem, kiedy robię błędy. Ciężko jest usłyszeć to od kogoś innego. Aczkolwiek, jeśli jest to osoba która cenię, to chcę, bo jest to nauka.

Czy najbliżsi wspierają Cię w Twojej drodze artystycznej i jak to się przejawia na co dzień?

Bardzo. Teraz już się odłączyłam. Wiem którą drogą mam iść. Ale moje początki zawdzięczam tylko mamie i ojczymowi. Sama nigdy w życiu nie odważyłabym się na warsztaty. Teraz to już inna sprawa. Wtedy miałam dwanaście lat, a regulamin zabrania przyjmowania takich młodych osób. I wtedy było mi bardzo ciężko. Bardzo płakałam, bo się bałam. Gdyby nie to, że mama mnie siłą - i to nie jest przenośnia - tam zaciągnęła, to nie wyszłabym z auta. Jestem jej za to wdzięczna. Na lekcje też mama mnie zaciągnęła. Oni mi pokazali muzykę. Nie wiem jakby to było, gdyby w domu nie było muzyki. Gdyby moi rodzice nie byli plastykami. Gdyby mnie na początku nie wozili do tego Krakowa, co tydzień. Byli zawsze bardzo zaangażowani. Wspierają mnie. Chodzą na koncerty.

Czy zrodził się już pomysł nagrania płyty?

Nagrywałam już w studio piosenki, które wysyłam na konkursy. Aczkolwiek marzy mi się, żeby zrobić wreszcie swój autorski program. To jest trudne. Trzeba usiąść, przygotować teksty i muzykę. Miejmy nadzieję, że w tym roku uda mi się to ruszyć. Czas już jest. Można sobie śpiewać, ale przychodzi moment, kiedy to jest za mało, kiedy by się chciało zrobić coś swojego. Chciałabym mieć w ręku swoją płytę ze swoimi piosenkami. Nawet gdybym nagrała płytę, to kilka, a może nawet większość utworów to będą standardy. Bo to są piękne utwory, które uwielbiam. Chciałabym mieć chociaż jedną piosenkę autorską, do której miałabym teledysk, żeby ruszyć. To jest moje wewnętrzne pragnienie.

Gdzie w najbliższym czasie będzie można cię usłyszeć i jaki repertuar będzie można usłyszeć na Twoich koncertach?

Repertuar to standardy jazzowe i inne piosenki które muzycy pomagają mi aranżować na mój pomysł. W najbliższym czasie będę śpiewać na Nocy Kulturalnej w Teatrze S. u Stacherczaka. Będzie to koncert Młodej Sceny Jazzowej. Będziemy grać Chopina na jazzowo. Serdecznie Zapraszam.

Dziękuję za rozmowę.

Dotychczasowe osiągnięcia muzyczne Anny Andrzejewskiej:

Grand Prix na Ogólnopolskim Festiwalu „Sing Jazz Blues” (Białystok 2007)

Grand Prix na Małopolskim Festiwalu Form Muzycznych „Talenty Małopolski” (Piekary 2007)

3-ecie miejsce na Międzynarodowych Spotkaniach Wokalistów Jazzowych (Zamość 2008)

Grand Prix na Ogólnopolskim Festiwalu Dobrej Piosenki im. Kaliny Jędrusik „Kalinowe Noce, Kalinowe Dni” (Częstochowa 2008).

Wioletta Grzegorzewska

Z notatek na marginesie Ekranu kontrolnego Jacka Dehnela

Zwierzątko człowiek

Przypuszczałam, że po ukazaniu się piątej książki poetyckiej Jacka Dehnela polska krytyka kolejny raz zabawi się w wymyślanie nowych etykietek. Już wyobrażałam sobie te recenzje o klasycystyczno - awangardowych pomysłach poety. Jakiś krytyk - doktorant nie omieszka wykorzystać modnych ostatnio terminów: poezji wyczerpania i innej - *qcej dykcji*. Mnie po przeczytaniu *Ekranu kontrolnym* zainteresowało zupełnie coś innego - pewien aspekt filozoficzny tej poezji i próba opisania istnych spraw człowieka z charakterystyczną dla poety elegancją myśli:

*Goła kiść dłoni, włosie na głowie,
zwierzątko człowiek.*

*

Kompozycja *Ekranu kontrolnego* przypomina słynną zagadkę Sfinksa: *Co to za zwierzę, które rano chodzi na czterech nogach, w południe na dwóch, a wieczorem na trzech?* Inicjalne utwory w książce dotyczą wieku niewinności, zniekształconych wspomnień i doświadczeń dziecka w świecie dorosłych. Kolejne teksty kontemplują czas dojrzewania: *zasmarkanych, spuchniętych od łez nastolatków w Hotelu Rzeszów, istoty z trądzikiem i górną wargą obrzmiałą od kielkującego zarostu w Hor ich das Liedchen Klingen*. Najobszerniej opisany jest wiek męski jako czas klęski, rozczarowań i utarty złudzeń. Całość takiego układu dopełnia wiersz: *Stary człowiek w oknie pałacu*.

Większość utworów z *Ekranu kontrolnego* dzieje się niejako poza czasem, w innym wymiarze, gdzie kolokwializmy typu: *nara, git, spylajcie, klawe* swobodnie mieszają się z zdaniami pisanymi wytworną polszczyzną: *Nie ma słów na te boleść* (sonet XII.), i gdzie obok scenek rodzajowych np. wiersz o robotnikach z Zieleni Miejskiej z wiersza *Początek maja czy KFC* toczy się gra o wielkie i małe sprawy komedii ludzkiej: czas, pamięć, śmierć, przemijanie, miłość, zawiść, a prawie wszystko podane w kunsztownych formach: villanelli, sonetach, pantum, dystychach, pieśniach. Pewien czytelnik zasugerował kiedyś, że Jacek Dehnel pisze wiersze sylabotoniczne, ponieważ zwykle spisuje teksty w pociągu, gdzie miarowy i monotony ruch na liniach: Gdańsk - Warszawa - Warszawa - Lublin - Kraków - Warszawa musi jakoś wpływać na formę. Nie sądzę jednak, żeby ten pomysł był prawdziwy. Wydaję mi się, że autorowi zwyczajnie odpowiada styl wysoki.

Lennik Czwartej Władzy

Wywiadzie opublikowanym na stronach Biura Literackiego Jacek Dehnel powiedział: *Ale jeśli wczytać się w Ekran to pewnie widać, w którym kierunku idę teraz; w kierunku rozczarowań i świadomości, że każdy środek przeciwbólowy, który sobie aplikujemy, czy to będzie religia, czy sztuka, czy coś jeszcze innego, prędzej czy później okaże się niewystarczający.*

Ekranu kontrolny zamyka cykl dwunastu sonetów, w których człowiek - lennik Czwartej Władzy - uświadamia sobie, jak bardzo jest bezradny i skazany na punkt widzenia podawany codziennie w serwisach informacyjnych. Mimo złudzeń wolności tak naprawdę jest uzależniony od mediów, które aplikują końskie dawki obrazów związanych z cierpieniem (boleścią). W końcu telewizz poddaje się anestezji i przestaje reagować nawet na brutalne, ociekające krwią sceny:

*Nie ma słów na te boleść (której nie przeżyłeś
zresztą, drogi poeto z książkami na koncie),
nie masz słów na te zwłoki oprószone pyłem
epicentrum konfliktu; czy na samym froncie*

Inter-akcje i odbicia

Czytając *Ekran kontrolny*, zastanawiałam się, jak przyswoiłby sobie tę książkę mój polonista z ogólniaka, który nigdy nie korzystał z internetu. Zapewne tak jak ja byłby zachwycony pewnymi wierszami: *Czerwiec, Lipiec, Urartu, Bażant, Wątpia, Stół*, ale czy pojąłby terminy i wątki związane z cyberprzestrzenią: logować, allegro, youtube, program do ściągania torennt, fotka, serwis randkowy dla gejów i lesbijek www.gaydar.pl? Okazuje się, że dzisiejszy, uważny czytelnik najnowszej poezji nie ślęczy już w bibliotekach, antykwariatach i czytelnich, ale w przede wszystkim korzysta ze stałego łącza. Czy bez tego byłabym w stanie ogarnąć cykl prozatorski pt. *Noc w Elizejska w Pracowni Internetowej*, w którym bohater wciela się w postaci m.in.: Mrs Astor, Johna Merricka (bohater filmu Davida Lyncha *Człowiek słoń*), nienarodzone dzieci państwa Finckelstein. Całe to nawiedzone towarzystwo spędza noc na oglądaniu filmików na youtube; m.in.: powtórkę popularnego programu w Wielkiej Brytanii *Britains Got Talent*, w którym nieznaną amatorka Susan Boyle wykonała *Dremed and Dream* (<http://www.youtube.com/watch?v=b2xiAQCTy2E>), migawki z festiwalu z Newport z 1963 roku itp. Przyznam, że próbowałam zlustrować niektóre teksty pod kątem inspiracji netowych oraz znaleźć wiersze źródłowe, które zainspirowały Jacka Dehnela lub były materiałem do tzw. utworów - odbić, ale bardziej zachwycały mnie wiersze, które nie wymagały surfowania i podobnie jak mój profesor od polskiego, który z wyboru nie korzystał z komórki i internetu, wołałabym odpuścić sobie przeglądanie You Tube, czerpiąc przyjemność z czystej lektury i kartkowania wierszy wydrukowanych na papierze *Munken Print Cream*. Czytając „Ekran kontrolny”, poczułam się tak, jakbym spędziła kilka wieczorów w ogrodzie rozwidlających się ścieżek, krzyżujących się jak linie i barwne figury kontrolnego ekranu. Polecam.

JACEK DEHNEL

Urodzony 1 V 1980 w Gdańsku. Absolwent Polonistyki na UW w ramach Kolegium MISH. Mieszka w Warszawie, na Powiślu. Publikował m. in. w „Kursywie”, „Kwartalniku Artystycznym”, „Lampie”, „Studium”, „Toposie”, „Tytule”, „Undergruncie”. Jest felietonistą Wirtualnej Polski i „Polityki”. Ma też na koncie przekłady poezji (m. in. O. Mandelsztama, W. H. Audena, Ph. Larkina, G. Szirtesa, K. Verdinsa) i tekstów piosenek (m. in. pieśni do muzyki Astora Piazzolli). Zajmuje się również malarstwem i rysunkiem. Zasiada w Radzie Programowej przy dyrektorze Galerii Zachęta. Laureat wielu nagród literackich, m. in. w konkursach Czerwonej Róży, Prozatorskim Wydawnictwa Znak, Literackim Miasta Gdańsk, im. Herberta, Rilkego, Bierzina, Baczyńskiego, Poświatowskiej. Laureat Nagrody Kościelskich (2005) i Paszportu Polityki (2006). Nominowany do nagród Angelus (2007) i Nike (2009). Jego wiersze były tłumaczone m.in. na baskijski, francuski, gaelicki, łotewski, słowacki, słoweński.

Dorobek literacki Jacka Dehnela:

Poezja: „Żywoty równoległe” (Kraków, Zielona Sowa 2004), „Wyprawa na południe” (Tychy, Teatr Mały w Tychach 2005), „Wiersze” (Warszawa, Lampa i Iskra Boża 2006), „Brzytwa okamgnienia” (Wrocław, Biuro Literackie 2007), „Ekran kontrolny” (Wrocław, Biuro Literackie 2009)

Proza: „Kolekcja” (Gdańsk, Marpress 1999), „Lala” (WAB 2006), „Rynek w Smyrnie” (WAB 2007), # „Balzakiana” (WAB 2008), „Fotoplastikon” (WAB 2009).

„Ekran kontrolny” jest nominowany do Nagrody Literackiej Nike 2010.



Jacek Dehnel

Albert Watson, *Golden Boy (New York 1990)*

(reklamy wystawy w Düsseldorfie)

Całe miasto przegląda się w tym złotym chłopcu,
wszędzie on, sześciolatek, siedmioletni może,
na ogromnych plakatach, billboardach, w folderach:

jakie słowa się cisną na te małe usta,
jakie słowa się tłoczą pod tym kłębowskiem
nadprzyrodzonych żmijek, koafiurą z węży?

Wszedł ze Snu Nocny Letniej; duch, powietrzne bóstwo
zamknięte w drobnym ciałku, zapylone kruszczem –
wypił Ren i zjadł Düsseldorf jak czekoladkę.

Nieco młodszy ode mnie. Ze trzy, cztery lata,
gdzieś pewnie dalej żyje, większy i zgrubiały;
i wie lepiej niż inni, że kiedyś mieszkała

w nim siła potężniejsza niż wszystko, co znamy.

Warszawa, 9 XI 2008



Hotel Rzeszów

Oto temat dla sztuki (niech się Tukidydes przed nim schowa, wraz z flotą, w skalistej zatoczce) – płacz kochanków w hotelu. Brudnym, choć nie małym: dziesięć pięter betonu, kubiki zaduchu, które stały przez lata nad tą dziurą w ziemi. Będzie tam centrum czegoś. Nowe i błyszczące.

Ale tych dwóch się nie da wymienić na innych, skreślić, potem nadpisać, zbudować od podstaw. I odtąd będą nieśli, osobno, przez życia, niezwiązane ze sobą, tamtych dwóch z hotelu: zasmarkanych, spuchniętych od łez nastolatków objętych w kwadratowym, niedomytym oknie, których starcy (jak z farsy weneckiej) tak długo rozdzielali, aż w końcu rozdzielili. Będą szli, jechali, płynęli, lecieli przez lata z tym zburzonym budynkiem jak z odłamkiem w mięśniu, bezpowrotni, straceni. Czy przynajmniej jeden z nich.

Warszawa, 2 IV 2009

Stół

Gorzkiej Dobosz

Czarna skrzynko, doboszu, ciasny zwitku krwinek, jakże cię okradziono, zmieniając cię w pompę (w hydraulice widząc twych skurczów jedyne tłumaczenie), w ładunek z aortowym lontem!

Jakże cię okradziono, zmieniając cię w pompę. Ci śmieszni kardiologzy, to ich żartobliwe tłumaczenie: „Ładunek z aortowym lontem”. Wyjęte, połyskujesz, jak pokryte szkliwem.

Ci śmieszni kardiologzy, to ich żartobliwe żonglowanie żyłami, tętnicami, klewą. Wyjęte, połyskujesz, jak pokryte szkliwem. Przeciągły pisk maszyny. Moc się zmienia w niemoc.

Żonglowanie żyłami, tętnicami, klewą. Niczego ci nie wróci zjazd kardiologii, przeciągły pisk maszyny. Moc się zmienia w niemoc. W ogromnej amfiladzie czyjś głos długo dudni.

Niczego ci nie wróci zjazd kardiologii, musisz samo powrócić do minionych znaczeń. W ogromnej amfiladzie czyjś głos długo dudni: „Serce to miejsce, w którym się kocha i płacze”.

Musisz powrócić samo do minionych znaczeń, Choć tylu błędzi, mając cię za kawał mięsa. „Serce to miejsce, w którym się kocha i płacze.” Wyjaśnienie? Ty głębiej swym biciem się wwiercasz.

Choć tylu błędzi, mając cię za kawał mięsa, w hydraulice widząc twych skurczów jedyne wyjaśnienie, ty głębiej swym biciem się wwiercasz, czarna skrzynko, doboszu, ciasny zwitku krwinek.

Warszawa, 29 X 2008



Mrs Astor ogląda
Joan Baez i Boba Dylana,
śpiewających *With God
on Our Side* na festiwalu
w Newport w 1963 roku

Oh my name it is nothin', my age it means less, ale nawet tutaj czuję wagę eterycznych brajtszwanców i kolii z ektoplazmowymi diamentami. Siedemdziesiąt osiem lat, jeden miesiąc i osiem dni dźwigania ciężarów, od wyjścia z wód płodowych po cienkie, holenderskie płótno pościeli, w której leżałam ostatniego dnia – halki, krynoliny, karnawałowe kostiumy angielskich księżnych i francuskich pasteczek, tyle krojów i wzorów, każdy odpowiedni na inną okazję, jakby życie samo w sobie nie było wystarczająco odpowiednią okazją.

Jeśli wracać – być nimi. Albo im podobnymi. Nie, nie legendą, nie fotografiami na okładkach, nie biletami wyprzedanymi do ostatniego, nie słowami piosenek przepisywanymi do zeszytów, ale po prostu nimi, młodymi, kiwającymi się miarowo do rytmu tak, by głos wypływał jak woda z oszronionej szklanki. Nie, nie młodymi nawet – nie lekkością, z jaką rąbek koszuli przesuwają się przy każdym akordzie po gładkim przedramieniu, nie obfitością włosów kędzierzawych ani prostych, nie pragnieniami ciała – głosem, głosami łączącymi się gdzieś w powietrzu gdzieś pomiędzy jej ustami a jego ustami a mikrofonem; nie, samym drżeniem, wibracją – że nie sposób poczuć, czy to głosy, niosące melodię i słowa, czy tylko powiew. Być samym drżeniem.

Warszawa, 1 VII 2009



Dialog Kultur

Bobby McFerrin

XX Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”

Dominika Radkowska

zdjęcia: Wojciech Barczyński

Tegoroczna edycja Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” była edycją jubileuszową – Festiwal odbył się po raz dwudziesty – w dniach od 30 kwietnia do 6 maja. Towarzyszyło mu hasło „Ars Sacra - Dialog Kultur”. Organizatorzy Festiwalu przygotowali sporą ilość bardzo różnorodnych wydarzeń. Oprócz koncertów, spektakli, warsztatów i wykładów tematycznych odbyły się imprezy towarzyszące: Międzynarodowa Konferencja Naukowa „Człowiek - Wiara - Kultura”, seminarium naukowe, sesja muzykologiczna oraz organizowana w Częstochowie po raz drugi ETNO*C

W ramach Festiwalu wystąpiło 875 artystów z 23 krajów świata; odbyły się 23 koncerty, 2 wystawy plastyczne, 3 spektakle.

Najwięcej widzów zgromadziły główne koncerty: inauguracyjny - występ Bobbiego McFerrina z Morphing Vienna Chamber Orchestra oraz finałowy - „Siedem Bram Jerozolimy” Krzysztofa Pendereckiego



pod batutą kompozytora, oba w Archikatedrze p.w. św. Rodziny oraz widowisko plenerowe „Logos” - Międzynarodowy Projekt Różnych Kultur w reżyserii Jerzego Bielunasa z muzyką Mateusza Pospieszalskiego.

Bobby McFerrin, gwiazda tegorocznego Festiwalu, ujął publiczność między innymi beatboxowym wykonaniem organowej partii „Ave Maria” J. S. Bacha, w które zaangażował wszystkich obecnych w Archikatedrze, zachęcając do śpiewania partii solowej Charlesa Gounoda. Najodważniejsi uczestnicy koncertu mieli też okazję indywidualnie spróbować improwizacji z mistrzem. Podczas utworów wykonywanych przez artystę a capella wszyscy bacznie przyglądali się orkiestrze nie dowierzając, że wszystkie instrumenty poza głosem McFerrina milczą. Część publiczności była niezadowolona z faktu, że nie usłyszała słynnego popowego przeboju „Don't Worry Be Happy”, jakby zapominając o charakterze Festiwalu. Artysta wyszedł jednak (przynajmniej częściowo) naprzeciw oczekiwaniom odbiorców i obok muzyki poważnej w programie koncertu znalazł się również nieco lżejszy repertuar. Można było usłyszeć w jego wykonaniu jazz, gospel, muzykę etniczną oraz swing. Wszystko to w klimacie radosnej zabawy, w której uczestniczyła również orkiestra i jej soliści.

Nie był to koniec atrakcji pierwszego dnia Festiwalu. Kościół Najświętszego Imienia Maryi gościł artystki interpretujące mistyczną

poezję irańską. Zespół Rozaneh wykonujący tradycyjną perską muzykę do słów poetów perskich, m.in. Rumiego – przedstawiciela sufizmu – to sześć kobiet grających m.in. na lutni, skrzypcach, bębnach, tamburynie, w barwnych strojach narodowych. Dwie wokalistki studiowały śpiew klasyczny Avaz u mistrza Sharam`a Nazeri. Istotą irańskiej tradycji mistycznej jest poszukiwanie obecności Boga aż do utraty siebie i to właśnie dążenie wyrażały prezentowane pieśni.

W programie Festiwalu znalazł się spektakl powstały z okazji dwusetnej rocznicy urodzin Fryderyka Chopina. Tekst widowiska jest kompilacją dzienników i listów Chopina oraz literatury bio-

graficznej dotyczącej jego życia i twórczości. Formuła widowiska jest oszczędna, osoby dramatu znajdują się w symbolicznych miejscach, są niemalże statyczne. Scenografię tworzą projekcje rycin, szkiców związanych z Chopinem i grafiki nawiązujące do obchodów Roku Chopinowskiego na całym świecie. Twórcami spektaklu są – do niedawna związani zawodowo z Częstochową – reżyser Katarzyna Deszcz i scenograf Andrzej Sadowski. Postać Fryderyka Chopina odtwarza Zbigniew Zamachowski, występują również: Beata Schimscheiner i Dariusz Kowalski. Utwory Chopina wykonuje Jerzy Sterczyński – pianista mający na swoim koncie liczne nagrania m.in. utworów Chopina, Czajkowskiego, Beethowena i Szymanowskiego, koncertujący w wielu krajach Europy i Azji. Częstochowskie festiwalowe wykonanie spektaklu było jego prapremierą.

Muzykę Czarnego Łądu usłyszeliśmy czwartego dnia Festiwalu w kościele Ewangelicko-Augsburskim. Bardzo żywe i głośne brzmienie zambijskiego bandu The Sakala Brothers rozkołysało i skłoniło do rytmicznych oklasków zgromadzoną licznie publiczność. Zespół wykonuje pieśni ewangelizacyjne, angażując się w animację religijną w swoim kraju oraz w działania na rzecz chorych na AIDS, a także na rzecz osieroconych dzieci. Kilka utworów zagranych podczas koncertu wykonawcy zadedykowali Polakom, aby zaakcentować solidarność z nami w obliczu kwietniowej katastrofy lotniczej. Jedną z piosenek powstała specjalnie na Festiwal Gaude Mater. Zespół The Sakala Brothers znajduje się w czołówce wykonawców muzyki w Zambii, jest laureatem wielu nagród, w tym nagrody prezydenta za Najlepszą Piosenkę Zambii

w roku 1997, nagrodę za Album Roku 1998. Ich utwory osiągają wysokie notowania w krajowych listach przebojów.

Kościół Prawosławny pw Ikonę Częstochowskiej Matki Bożej z trudem pomieścił wszystkich chętnych do wysłuchania koncertu Zespołu Staroruskiej Muzyki Cerkiewnej „Sirin” z Rosji pod dyrekcją Andrieja Kotowa. Zespół ten w ciągu zaledwie dwudziestu lat działalności zgromadził na swoim koncie imponujące osiągnięcia w odtwarzaniu średnio-wiecznych śpiewów cerkiewnych, opierając się na badaniach specjalistów z dziedziny językoznawstwa i muzykologii. Występuje na całym świecie prezentując niezwykle bogaty repertuar obejmujący śpiewy znamienne, pątnicze, demiestwienne, kijowskie, bułgarskie, greckie, a także pieśni klasztorne, wczesne formy ruskiej



Syryjsko-turecki zespół „Al-Kindi” pod dyrekcją Julienu Jalala Eddine Weissa (Francja) z towarzyszeniem Wirujących Derwiszy z Aleppo.

Joseph Malovany (USA)





polifonii i wczesnoruskie partesy. Tłumnie zgromadzonym słuchaczom nie przeszkadzało, że w Kościele nadal trwają prace wykończeniowe i akustyka surowego wnętrza pozostawia wiele do życzenia. Wszyscy zamarli w zachwycie wsłuchani w piękne i niespotykane brzmienie głosów rosyjskich artystów.

Jeszcze trudniej było dostać się na koncert zespołu Al-Kindi w Teatrze im. Adama Mickiewicza. Mimo szturmu na drzwi wejściowe nie wszystkim chętnym udało się wdrzeć do środka. Artyści zajmujący się klasyczną muzyką arabską przyciągnęli publiczność nie tylko egzotyczną dla nas muzyką, ale także atrakcją w postaci tańca Wirujących Derwiszy z Alep-

po. Kierownikiem zespołu jest Julien Jalal Eddine Weiss, Francuz, który przeszedł na Islam w efekcie fascynacji kulturą, a co za tym idzie, również religią arabską.

ETNO*C przyciągnęła publiczność podczas trzech wieczorów poświęconych kulturze celtyckiej, żydowskiej i indyjskiej. Można było nie tylko wysłuchać koncertów i wykładów, ale też wziąć udział w warsztatach tańca irlandzkiego, bretońskiego, chasydzkiego, Odissi i Chhau, w warsztatach śpiewu nigunów i pokazie kulinarnym prezentującym zasady koszerności.

W wieczór żydowski wpisał się m.in. spektakl Teatru im. A. Mickiewicza pt. „Wilki” w reżyserii Andre

Ochodlo oraz koncert zespołu The Israeli Ethnic Ensemble z Tel Awiwu. Ten ostatni był bogatą formą kontaktu z kulturą żydowską, w tym sefardyjską, a także romską i bałkańską. Zespół ma bowiem w swoim repertuarze pieśni nie tylko izraelskie, inspirowane zarówno przez starożytne źródła żydowskie, jak i współczesną kulturę izraelską, ale też czerpie ze źródeł kultury innych krajów śródziemnomorskich. Żywiłowy sposób wykonania utworów wprawił w dobry humor zarówno publiczność jak i samych wykonawców. Słuchając ich miało się wrażenie, że muzycy także dobrze się bawią prezentując szeroką gamę możliwości wokalnych i instrumentalnych. Mocny, czysty, momentami dramatycznie modulowany głos wokalist-

Krzysztof Penderecki
„Siedem Bram Jerozolimy”
w Archikatedrze.

ki doskonale wplatał się w brzmienie instrumentów, które wspaniale współgrając, tworzyły nieraz zaskakujące dźwięki. W instrumentarium były m.in. kontrabas, gitara, oud, skrzypce, bębny, cajon.

Kulminacyjnym punktem programu był niezwykle widowiskowy spektakl „Logos” oparty na tekstach świętych ksiąg trzech wielkich religii monoteistycznych: chrześcijaństwa, judaizmu i islamu. Na monumentalnej scenie powstałej na Placu Biegańskiego mieszkańcy miasta mogli zobaczyć w pewnym sensie „festiwal w pigułce”. Ramy spektaklu stanowiły recytowane przez aktorów (Stanisławę Celińską, Krzysztofa Globisza i Roberta Więckiewicza) fragmenty Biblii, Tory i Koranu uporządkowane według rytuałów religijnych towarzyszących życiu człowieka od jego narodzin aż do śmierci. W spektaklu uczestniczyli

licznie artyści częstochowscy: Mateusz Pospieszalski z zespołem, Teatr Tańca Włodzimierza Kucy, Orkiestra Filharmonii Częstochowskiej pod dyrekcją Jerzego Salwarowskiego. Zgodnie z nazwą spektakl był jednak Międzynarodowym Projektem Różnych Kultur, zatem wystąpili w nim zarówno uczestnicy festiwalu ze wszystkich stron świata: Joseph Malovany (USA), Rozaneh (Iran), Sirin (Rosja), Mohanad Mansour z zespołem (Dania) jak i z Polski: Chór Synagogi pod Białym Bocianem czy Zespół Kalokagatos.

Dopełnieniem Festiwalu było imponujące wykonanie „Siedmiu Bram Jerozolimy” przez Narodową Orkiestrę Symfoniczną Polskiego Radia pod batutą samego Krzysztofa Pendereckiego z towarzyszeniem znakomitych solistów: Iwony Hossy (sopran), Sandry Tratt nigg (sopran), Ewy Wolak (alt), Rafała

Bartmińskiego (tenor) i Tomasza Koniecznego (bas) oraz czterech najlepszych chórów: Chóru Polskiego Radia, Chóru Opery i Filharmonii Podlaskiej, Polskiego Chóru Kameralnego Schola Cantorum Gedanensis i Zespołu Śpiewaków Miasta Katowice Camerata Silesia. W charakterze narratora wystąpił Jerzy Trela. Ciekawym zabiegiem było usytuowanie części instrumentów z tyłu katedry. Nadało to wykonaniu swoistej głębi, publiczność mogła mieć wrażenie, że istotnie znajduje się wewnątrz obłożonego miasta.

Festiwal „Gaude Mater” dostarczył nam w tym roku wielu pozytywnych emocji, czasem wzruszeń, potrzebnego w różnych chwilach zarówno wyciszenia, jak i ożywienia, prezentując odległe kultury i ich język będący środkiem ku zbliżeniu Ziemi i Nieba.

Częstochowski Teatr Tańca Włodzimierza Kucy podczas spektaklu „Logos” w reżyserii Jerzego Bielunasa.



Duma czy utrapienie ?

- czym jest dla nas Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”

Agnieszka Batorek

Naczelnym utrapieniem częstochowian - a w każdym razie tych zainteresowanych życiem kulturalnym miasta, natomiast religijnym niekoniecznie - jest fakt, że gros imprez organizowanych w cieniu Jasnej Góry zawiera w nazwie określenie „sakralny”. Nic dziwnego, że kręcimy nosem na takie zawężanie przestrzeni naszej kulturalnej eksploracji. Czasem jednak, umykając przed owym wszechobecnym *sacrum*, rezygnujemy z uczestnictwa w wydarzeniach pięknych i ciekawych.

Organizatorzy Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater” z roku na rok coraz bardziej mnie przekonują, że ów przymiotnik wcale nie musi ograniczać, że przecież sferę *sacrum* można rozumieć bardzo szeroko. Festiwal otwiera się na różne przejawy *sacrum* w różnych tradycjach religijnych, często w odległych nam kręgach kulturowych, na międzykulturowy dialog, a także na pozamuzyczne formy ekspresji (taniec, teatr, malarstwo, a nawet sztukę kulinarną). Szczególnym projektem jest organizowana w ramach Festiwalu Etno*c, podczas której uczestniczyć można w warsztatach tańca, makijażu, czy kosztować narodowych potraw z różnych stron świata. Można tych mniej lub bardziej egzotycznych obyczajów i rytuałów dotknąć, doświadczyć - czasem bardzo dosłownie - na własnej skórze.

Zupełnie niesłusznie zakłada się, że Festiwal skierowany jest do wąskiej grupy odbiorców i przeciętny mieszkaniec miasta niewiele ma z niego frajdy. Istotnie, może nie towarzyszą mu rodzinne pikniki, wspólne grillowanie i biesiadowanie, ale czy naprawdę tylko tego oczekuje statystyczny częstochowianin od imprezy kulturalnej? Za możliwość oglądania artystów tej klasy, co Bobby McFerrin czy Krzysztof Penderecki, na całym świecie płaci się ogromne pieniądze. Bilety na festiwalowe wydarzenia są nieporównywalnie tańsze, a gwiazdy mamy dosłownie na wyciągnięcie ręki. Organizatorzy „Gaude Mater” dbają, by program festiwalu był jak najbardziej zróżnicowany. Jeżeli kogoś nie interesują monumentalne oratoria, nobliwie spektakle „ku czci” (np. Chopina) czy staroruskie pieśni cerkiewne (a przekonaliśmy się w tym roku, że wielu jednak interesują), to ma podczas festiwalu alternatywę w postaci szeregu imprez bardziej kameralnych: koncertów folkowych, wystaw, warsztatów tanecznych czy spektakli teatralnych.

Kolejnym utrapieniem, kto wie czy nie większym niż te wymienione w pierwszej kolejności, jest fakt, że Festiwal kosztuje. Do tego kosztuje naprawdę dużo. Nasuwa się zatem słynna kwestia z „Rejsu”: *No i panie i kto za to płaci? Pan płaci... Pani płaci... My płacimy... To są nasze pieniądze proszę pana*. Prawda jest jednak taka, że miejskie fundusze stanowią zaledwie ułamek festiwalowego budżetu. Organizatorzy wykonują co roku tytaniczną pracę, by wywalczyć sobie dotacje z wielu różnych źródeł - jeżeli te pieniądze nie trafiłyby do nas, na nasz Festiwal, to prawdopodobnie dostałoby je inne miasto. Pytanie zasadnicze nie powinno jednak dotyczyć wysokości kwoty, ale tego czy

efekt jest wart poniesionych kosztów. Otóż, moim zdaniem, jest. „Gaude Mater” w swoim obecnym kształcie jest godną i właściwie jedyną (poza jasnogórskim klasztorem) wizytówką Częstochowy nie tylko w kraju, ale również na świecie.

Zaryzykowałabym nawet stwierdzenie, że to miasto nie nadąza za dynamicznie rozwijającym się Festiwalem. Z pewnym niepokojem myślę o tym, że kiedyś może się tu zrobić dla niego za ciasno. Brakuje nam sal koncertowych z prawdziwego zdarzenia, co można było szczególnie odczuć w tym roku ze względu na remont Filharmonii. Najciekawsze festiwalowe wydarzenia przyciągają publiczność, której nie są w stanie pomieścić ani nasze kościoły, ani sale teatralne. Akustyka tych miejsc często jest niezadowolająca. Nawet odbiór plenerowego spektaklu „Logos” zakłócały odgłosy ruchu ulicznego (zamknięta była tylko Aleja NMP przed Ratuszem), śpiewy dochodzące z jasnogórskiego klasztoru, czy... wystrzały z działa (?).

Skoro zatem tak wiele rzeczy w naszym mieście jest jeszcze do poprawienia, może nauczymy się być dumni z tego, co nam się udaje. Wbrew pozorom, to nie jest łatwy sukces, mimo że Festiwal „Gaude Mater” wpisuje się swoim charakterem w wizerunek miasta pielgrzymkowego. To jest efekt ciężkiej pracy i determinacji wielu osób z panią dyrektorką, Małgorzatą Nowak, na czele. Zamiast zazdrościć organizatorom środków finansowych, rozmachu i wytykać niedociągnięcia korzystajmy z konstruktywnego przykładu. Równajmy w górę.

Wioletta Grzegorzewska

Zapiski z wyspy - część II

2008-02-25

Lawrence Durrell napisał, że nasze widzenie świata uwarunkowane jest przez miejsce, jakie zajmujemy w czasie i przestrzeni: „Dwa kroki na zachód lub wschód, a cały obraz się odменя”. Myślałam dzisiaj o tym, jak zmieniła się moja wizja świata, po zrobieniu tych „dwóch kroków na zachód” i czy to przesunięcie w mojej przestrzeni miało wpływ na pisanie. Wyczuwam, że mój wewnętrzny język się niepokoi, waha się pomiędzy idiomami, pęka. Coraz częściej wertuję słowniki frazeologiczne w poszukiwaniu poprawnych związków, oglądam polskie programy, czytam prasę, ale czy zastąpi to kontakt z żywym językiem? Niedawno w rozmowie z koleżanką nie pamiętałam, jak nazywa się po polsku *salmon*. Prawie dwadzieścia lat uczyłam się mówić poprawnie w ojczystym języku, ponieważ moja rodzina porozumiewała się narzeczem lokalnej gwary, w międzyczasie (trzydzieści lat) wałkowałam język rosyjski i cztery lata niemiecki, a na studiach filologicznych przysłuchiwałam się sztucznej odmianie języka polonistów, teraz męczę się w następnym obcym języku i rośnie we mnie niechęć tak wielka, że najchętniej milczę. Dwa kroki na zachód? Przesunięcie tam, gdzie „wirus bezsensu sieje zarazę w moim sensie”.

2008-03-23

Zielone oko o pięknej nazwie „Parisienne La Fee Absinthe” łypie na mnie z etykiety i kusi. Przypomina wszystkie opowieści o „zielonej wróżce”. Późno w nocy mieszam setkę szmaragdowego płynu z wodą i dosładzam cukrem według przepisu. Łe, obrzydliwe! Nie znoszę smaku anyżu, ale jednak dopijam do końca. Współczesny absynt pozbawiony jest podobno substancji halucynogennych, więc nie spodziewam się niespodzianek, ale jednak nie mogę zasnąć dręczona wizjami z dzieciństwa.

2008-07-27

Rozmowa dzieci, mojego syna i jego angielskiego kolegi:

- A „tom” lampę w salonie, kto pomalował?
- A to, moja mama
- A ten obrazek na półce?
- To też moja mama
- Ona jest malarką?
- Nie, ona pisze.
- A to pewnie jest pisarką?
- Hm, właściwie to nie wiem, kim ona jest.

2008-07-26

A book must be the axe which smashes the frozen sea within us (Franz Kafka) - „Książka powinna być toporem, który kruszy w nas zamrożone morze”.

Jak mało jest takich książek.

Znajomy opowiada:

- Kiedy pada deszcz, wydaje mi się, że idzie za mną wielki pies. Słyszę, jak ziaje, czuję zapach jego wilgotnej sierci, ale kiedy się odwracam, pies znika. Zostaje po nim charakterystyczna smużka psiego smrodu i plamy śliny na chodniku. Zdesperowany kupiłem nawet suchą karmę i podczas spaceru rzucam ją za siebie. Pomyślałem, że jak się nażre, to wreszcie da mi spokój, ale on ani myśli. Wciąż za mną łązi i dyszy. To widmowe psisko będzie tak chodzić za mną do końca życia.

2008-07-18

Mahoniowe kobiety z połyskującymi, granatowymi włosami w pstrokatych sukniach na kremowych schodach banku *Nat West* oglądają błękitne mapy.

2008-07-14

Siedzę w barze *Weather Spoon*. Obserwuję dwóch mężczyzn. Ten starszy, któremu dałam na imię John, w koszulce z nadrukiem *Lazy Bones* przebija słomką miąższ cytryny w drinku. W półmroku szuka dłoni chłopaka, którego poznał przed godziną. Wypluwa gumę. Rozchyła wargi, tak jakby chciał wziąć do buzi pachnący chipsami i tytoniem kciuk. W końcu rozpina dżinsy i pokazuje na udzie tatuaż Marilyn Monroe.

— Dobra robota — szepcze ten młodszy.

Ich oddechy jak przezroczyste liście mięty mieszają się w powietrzu.

2009-06-24

Moja dwuletnia córka siedzi w kącie ogrodu i szepcze do pająka:

— Nie bój się, nie bój.

2008-07-03

Kurs angielskiego, na który uczęszczają matki z małymi dziećmi, aby pokonwersować w języku wyspiarzy. Rozmawiamy na temat poezji Johna Keatsa. Jeden dzieciak wyraźnie znudzony wierci się ma krzesło i zaczyna rozrzucać notatki. Jego zdenerwowana mama jak nie huknie po polsku:

— Uspokój się synek i zostaw te papiery, bo jeszcze jaki poeta z ciebie wyrośnie.

2009-07-22

— Wczoraj pojechałem do Newport — opowiada znajomy emigrant z Rosji — i tak się zmęczyłem załatwianiem sprawy w *Job Center*, że nabrałem ochoty na kawę. Podeszedłem do pierwszej napotkanej kobiety, która wyglądała jak elf i zapytałem, gdzie w tym mieście można napić się dobrej kawy, a ta uśmiechnęła się, spojrzała na mnie przez te swoje jaskrawo błękitne soczewki i odpowiedziała, że nieopodal jest taki bank, w którym dają kawę za darmo.

2009-09-25

Tania z Łotwy opowiada na lekcji angielskiego: - To był mój pierwszy dzień w pracy i byłam bardzo zdezorientowana. Jak na złość podeszła do mnie starsza kobieta i powiedziała, że chce kupić wielkie prześcieradło czyli sheet. Nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć, więc krzyknęłam po angielsku na cały sklep: Emma, pomóż, ta pani chce kupić *king size shit!*

2009-12-01

Od rana dziesięć telefonów w sprawie pracy, literowanie mojego polskiego nazwiska, które wydaje mi się teraz obce. Za oknem w kuchni mignęła pomarańczowa kurtka posłańca *Royal Mail*. Jest list! Biegnę do drzwi z nadzieją, że może dostałam informację o nowej pracy, zaproszenie na rozmowę kwalifikacyjną albo chociaż decyzję o przyznaniu zasiłków dla samotnej matki. Rozrywam kopertę, a tu tomik wierszy.

2010-01-24

Pocieszającą myśl Stefana Themersona znalazłam w angielskim poradniku na temat *creative writing*: „Mogę wyobrazić sobie zdrowe społeczeństwo, w którym nikt nie czyta poezji, ale nie potrafię sobie wyobrazić normalnej społeczności, w której nikt wierszy nie pisze.”

2009-11-02

linia Ryde - Newport



Naprawdę nie działa się nic

- czyli 7 Noc Kulturalna w Częstochowie

Agnieszka Batorek, Julia Liszewska, Adam Florczyk

zdjęcia: Wojciech Barczyński

Zaraz podniosą się głosy pełne oburzenia, że śmiałam tak zacząć po krakowsku, a konkretniej – „po zabłoceniu”, a przecież podczas 7 Nocy Kulturalnej działa się tak wiele i tak się wszyscy świetnie bawili. Pozwolę sobie jednak znaczenie powyższego nagłówka wyjaśnić dopiero w podsumowaniu. Program tegorocznej Nocy Kulturalnej istotnie nie powalał na kolana i pierwszą reakcją na niego było powszechne marudzenie i wybrzydanie. Kiedy jednak przyszło co do czego częstochowianie po raz siódmy tłumnie wylegli na ulice i z karretami w garściach pognali w miasto. Okazało się wówczas, że atrakcji jest tyle, że trzeba się mocno nagłowić, by wybrać te najciekawsze, a i tak z części z nich trzeba zrezygnować na rzecz innych.

Pozwolę sobie pominąć rodzinno-festynowe elementy programu, choć nie wątpię, że na przykład zabawa w indiańskiej wiosce w Parku Staszica była pierwszorzędną. Wśród trudnych do zaklasyfikowania, acz wartych uwagi ciekawostek tej Nocy były organizowane przez niektóre kluby i kawiarnie imprezy tematyczne. Klub Szafa Gra zamienił się na przykład w swoisty wehikuł czasu, gdzie rozbrzmiewała muzyka dawna w wykonaniu Susany Raso i Łukasza Geszlera, odbywał się również pokaz walk rycerskich Bractwa Rycerskiego DWUGRYF oraz prezentacja przepięknych, ręcznie wykonanych masek weneckich autorstwa Dominiki Radkowskiej. W Café Belg królowały wschodnie klimaty, można było podziwiać ukraińskie ikony oraz posłuchać folkowych brzmień z tego regionu w wykonaniu zespołu Ludy Dobri. Uważni spacerowicze mogli zresztą we wcześniejszych godzinach „upolować” muzyków z Ukrainy w Alejach, gdzie przygrywali sobie przycupnąwszy na jednej z ławeczek. Kawiarnia Coffeart, zgodnie z nazwą, zaprezentowała z kolei prace Mariusza Gosławskiego... malowane kawą. Przed Miejską Galerią Sztuki od świtu do zmierzchu panoszył się natomiast nasz dwugłowy i czteroręki Monstfur tworząc przy wsparciu Cezarego Łopacińskiego swoje imponujące trójwymiarowe graffiti fasadowe, którego integralnym elementem były .. kontenery na śmieci.

AB

Teatralnie - bez fajerwerków.

W części teatralnej tegorocznej Nocy zabrakło nowych, świeżych propozycji. Wojtek Kowalski pokazał swoje „Porady dobrego Wojaka Szwejka” (premiera – grudzień 2009), Teatr Adama Mickiewicza odgrzał „Igraszki z diabłem” (reż. Gabriel Gietzky) i zagrał tegosezonową „Plażę” (reż. Andre Hubner – Ochodlo). Poziom adrenaliny nie podniósł mi się też na „Hedonistach”, połączonych sił Teatru From Poland i gorzowskich Kreatur. Spektakl, oparty o teksty Sławomira Shutego, mógłby bardziej trzepać po trzewiach, tymczasem tylko lekko zasmyrało. Najbardziej udanym przedstawieniem, w mojej opinii, był występ dużych lał teatru MOMO (zwycięzcy ostatniego Ogólnopolskiego Przeglądu Monodramów 42-200) na Placu Biegańskiego. Spektakl, skierowany do najmłodszych widzów, był interesujący zarówno od strony wizualnej (plastyczne, kolorowe kostiumy postaci, działające na wyobraźnię), jak i przejrzysty, jeśli chodzi o treść – spotkanie dobra ze złem upersonifikowane w osobach dwóch wróżek. Dzieci zostały umiejętnie wciągnięte do zabawy, wnosząc do spektaklu nowe treści. Ciekawy, udany projekt. Niestety, na czytanie dramatu w Iluzji, nie dotarłam, nie sądzę jednak by szczególnie odbiegało od poprzednich – spotkania trzymają równy, niezły poziom. Podsumowując, teatralnie Noc Kulturalna wypadła raczej blado, czuję tu potrzebę świeżej krwi. Może za rok.

JL

Cezary Łopaciński, *Fantastyczne Światy*,
graffiti fasadowe 3D przed Miejską Galerią Sztuki

Noc w kinie

Oferata filmowa była chyba jednak najskromniejszą w programie. Ośrodek Kultury Filmowej zaserwował nam odgrzewane kotlety w formie wieczoru musicalowego, przy czym świeższy z kotletów w postaci „Nine” Roberta Marshalla dla mnie osobiście jest zupełnie niestrawny, natomiast drugi w kolejności, znakomity „Sweeney Todd” Tima Burtona, miałam już okazję oglądać kilkakrotnie. Pozostało mi zatem kino prawdziwie offowe i tu z dwóch dostępnych propozycji szczęśliwie wybrałam pokaz filmów Wytwórni Chacifde z premierową pozycją „Dobry, Zły i Zombie” wyświetlaną w ogródku Kawiarni Montmartre. Produkcja wspomnianego filmu zajęła co prawda młodym twórcom ponad trzy lata, ale efekt jest naprawdę oszałamiający. Kino amatorskie ma tę urokliwą cechę, że nawet kiedy jest złe, to jest przynajmniej śmieszne. Filmu, o którym mowa na szczęście ten pierwszy epitet nie dotyczy. Najświeższa produkcja Chacifde jest komiczna z założenia i mamy tu do czynienia z humorem na najwyższym poziomie – bliskim dokonaniom brytyjskiego Monty Pythona. Humor filmu „Dobry, Zły i Zombie” opiera się bowiem na intertekstualności wynikającej ze znakomitej znajomości historii kina i popkultury. Mamy tu nie tylko doskonałą parodię spaghetti westernu, klasycznych horrorów i filmów gore. Pojawiają się też gagi rodem z komedii slapstickowej i karkołomna parodia owych gagów, „Thriller” Michaela Jacksona wytańczony przez naszych rodzimych zombiaków, a nawet cytaty z kultowego programu TVP „Zwierzyniec” (swoją drogą ciekawa jestem jakim cudem ktoś z młodych filmowców w ogóle go pamięta). Jak przystało na film amatorski większość zdjęć realizowana była „z ręki”, więc wprawne oko widza wychwytyje pewną niestabilność kadru, którą maskuje jednak dynamiczny montaż, animacje, stop klatki. Podobnie jest w przypadku słabo słyszalnych momentami dialogów, które uzupełniono napisami. Wszelkie niedoskonałości twórcy sprytnie obracają na własną korzyść czyniąc z nich artystyczną konwencję. Całości towarzyszą zadziwiające efekty specjalne, zarówno wizualne jak i dźwiękowe, w których wiele jest zamierzonego komizmu (animowane wystrzały z kapiszonów, spektakularne łamanie kończyn i hektolitry sztucznej krwi) oraz fenomenalna animacja. Nic dziwnego, że pokazowi premierowemu towarzyszyły salwy śmiechu licznie zgromadzonej publiczności, a zakończyła go zasłużona owacja na stojąco.

AB

Muzycznie – różnorodnie

Dla kontrastu - najbardziej zróżnicowana i najbogatsza kategoria tej Nocy – muzyka. Królował Chopin, którego można było posłuchać zarówno w wersji klasycznej w Ratuszu i w OPK Gaudemater, jak i na jazzowo w Teatrze „S” (w wykonaniu Młodej Sceny Jazzowej). Nie wiem czy było to zaplanowane, czy przypadkowe, ale Noc Kulturalna zązębiła się z Dniami Jazzowo-Bluesowymi organizowanymi przez klub Ask we współpracy z Instytutem Muzyki AJD. Dzię-

ki temu można było posłuchać przed budynkiem IV LO im. Sienkiewicza koncertu Wojtka Pili-chowskiego z zespołem Fair of Noise oraz Josha Lawrence’a i Damage Control, natomiast w klubie Ask królował Wielebny Blues Band (wieści z „drugiego ucha” niosą, że koncert był znakomity). Zupełnie niezależnie jazzowy koncert z udziałem rodziny Pospieszalskich i ich gości zorganizował Cof-feeart. Miejska Galeria Sztuki zaskoczyła nas z kolei prezentacją lokalnych zespołów metalowych: Nosferatis i Noise Dicks. Większość klubów postawiła na muzykę tańeczną, z czego najciekawszą propozycją był chyba Bakshish Sound System w TFP.

Nie będę ukrywać, że wspomniane gatunki muzyczne nie należą do moich ulubionych, zatem najwięcej czasu spędziłam na „Muzycznym Podwórku” Carpe Diem. Niestety muszę przyznać, że czekało tu na mnie pasmo rozczarowań. Pozwolę sobie pominąć milczeniem występy reprezentantów lokalnej sceny, gdyż są to muzycy młodzi, niedoświadczeni i po prostu niewiele jeszcze potrafią, choć zespołowi Elephant Stone zdarzyło się już występować na dużych polskich festiwalach. Pierwszą prawdziwą gwiazdą wieczoru był jednak Bajzel, rock’n’rollowy człowiek orkiestra. I tutaj muszę powiedzieć, że bardziej rozczarowała mnie publiczność niż artysta. Spodziewałam się większej frekwencji i większego zaangażowania w zabawę, bo do tego skłaniał niebanalny repertuar i energetyczny występ Bajzla. Kulminacyjnym punktem programu miał być występ Pogodno i tutaj już publika zgromadziła się tłumnie. Niestety na spóźnioną kapelę czekać musiała ponad go-

Pogodno
Muzyczne Podwórko
przed Carpe Diem



dzinę, uczestnicząc w instalowaniu się muzyków na scenie, strojeniu instrumentów i szybkiej przedkoncertowej próbie. Sam koncert można by uznać za udany - pełen energii, improwizacji, z gościnnym udziałem Ziuta Gralaka - gdyby nie pewien niesmak pozostający po niefrasobliwym i zupełnie nieprofesjonalnym wstępie.

Prowokacje artystyczne – tak, ale z głową! - czyli dlaczego mam kaca moralnego po ulicznej akcji Piotra Nity „Komu książka, komu?”

Wdziale imprez literackich nastąpiła podczas Nocy Kulturalnej, jak zwykle, posucha. Dokładnie mówiąc, odbyły się dwie. Jedną z nich było spotkanie w Bibliotece Głównej, gdzie pod szyldem „Každy czytać może” czytano *unplugged* kryminał metafizyczny częstochowianina, Aleksandra Wiernego - „Światło”, którego akcja dzieje się w Świętym Mieście. Uzupełnieniem narracji na żywo był ekran z wyświetlanymi na slajdach miejscami akcji, w tle grała muzyczka z serialu „07 zgłoś się”. Wbrew wydarzeniom opisanym w książce impreza przebiegała spokojnie, w rytm zmieniających się interpretatorów. Autor doce-

nił swych czytelników, wraz z nimi siedział na sali, dobrze się bawiąc (takie przynajmniej miałam wrażenie) w trakcie imprezy.

Na zupełnie innym biegu nie uplasowała się akcja performatywna znanej w Częstochowie postaci – Piotra Nity (szefa teatru Blee, założyciela Przychodni Poetyckiej). Akcja, zatytułowana przez autora „Komu książka, komu?”, miała zwrócić uwagę na problem nienajlepszej kondycji książki w świecie współczesnym. W wywiadzie przeprowadzonym podczas akcji Piotr mówił: „Książka przestała być postrzegana jako produkt szlachetny, tysiące książek niszczone, zamykane są biblioteki, na dodatek z końcem 2010 roku ma być zniesiony preferencyjny zerowy VAT na książki, co

spowoduje wzrost cen, a i tak czytelnictwo w Polsce jest na niskim poziomie. Naszą prowokacją chcemy zmusić do myślenia o stosunku do książek, do pozytywnych działań w kierunku poprawy kondycji książki, a to wymaga mocnych środków.” (http://stacjaczestochowa.info/noc-kulturalna/?action=article_show&idArticle=1346).

Mocnymi środkami Piotr nazywa: rzut książką do kibla, książkę w roli talerzyka pod grillowaną kiełbasę, moczenie książek w balii, palenie książek. Brzmi drastycznie, a kiedy pod anonimowe tytuły podstawimy prawdziwe książki, które zostały zniszczone w czasie akcji, włos się na głowie jeży. Molier z serii BN w balii z wodą, zawijanie tłustej grillowanej kiełbasy w piękne wydanie „Wesela” Wyspiańskiego, rzut „Akademią Pana Kleksa” z rysunkami Szancera (za którą w dzieciństwie dałabym się pokroić) do kibla, wysadzanie w powietrze „Potopu” Sienkiewicza. Zrozumiałabym, gdyby bezczeszczona i niszczone była wydawana współcześnie makulatura w rodzaju harlequinów i romansideł, albo grafomańskie popisy pań typu Szwaja czy Grochola. Ale Reyntmont, Wyspiański, czy arcydzieło polskiego dramatu, „Wesele”? To dla mnie zbyt wiele. To już nie prowokacja, to głupota, bezsensowne niszczenie dorobku polskiej literatury. Miało wstrząsnąć. Wstrząsnęło. Ale i tak, mam pewność, nie tymi ludźmi, którymi powinno. Dla większości społeczeństwa BN-owskie wydanie Kasprowicza to i tak tylko zwykła makulatura, kilkaset kartek. Dla mnie to świętość. Dla mnie zniszczenie takiej książki jest jak upokorzenie przyjaciela. Nie sądzę, żeby akcja ta wzbudziła refleksję. Ci, którzy zatrzymywali się, żeby rzucić sobie książką do kibla, czy wysadzić jakiś tom w powietrze, nie zastanawiali się, co niszczą ani w jakim celu to robią. Sama nie zaprotestowałam jakoś ostrzej przeciw temu bezsensownemu aktowi destrukcji i... żałuję. Bo, moim zdaniem, „ideał sięgnął bruku”, nie spełniwszy ani jednego z postulowanych celów. Nita postawił na efekciarstwo, na popularną formułę „cel uświęca środki”. W tym przypadku nie uświęcił.

Sztuka która niszczy sztukę - polemika

Przypadła mi dzisiaj rola adwokata diabła. Julia Liszewska, w tekście powyżej, mocno i zdecydowanie atakuje akcję Teatru Blee podczas ostatniej Nocy Kulturalnej. Rozumiem Julię doskonale, bo sam, obserwując akty przemocy wobec książek, miałem ochotę rozgonić całe to towarzystwo. Pytanie brzmi: dlaczego tego nie zrobiłem? Dlaczego nie zareagowałem ja, Julia czy ktokolwiek inny? Teatr Blee zostawił nam przestrzeń, publiczność mogła włączyć się w tę akcję w różny sposób, również uniemożliwiając niszczenie książek. My jednak zamiast powiedzieć „stop!”, z uśmiechem na twarzy rzucaliśmy arcydziełami literatury do kibla i przyglądaliśmy się jak są wysadzone w powietrze. Kto jest tu zatem bardziej winny: Teatr Blee który wymyślił tę prowokację, czy my którzy bezmyślnie daliśmy się wciągnąć w artystyczną grę?

Happening ma z definicji formułę otwartą, widz/uczestnik jest tu równie ważny jak artysta. Dlatego obaj ponoszą podobną odpowiedzialność za tworzone dzieło. Piotr Nita, mam wrażenie, świadomie chciał nas postawić w roli obrońców książki. Znacząca jest już sama nazwa akcji: „komu książka, komu?”. Tak jakby Teatr Blee wskazywał nas po kolei palcem i pytał z wyrzutem: komu tak naprawdę zależy, no komu? My jednak nie sprostaliśmy temu zadaniu.

Oczywiście była to misternie przygotowana pułapka. Publiczność świadoma uczestnictwa w akcji artystycznej, reaguje inaczej. Ktoś to zorganizował, ubrał działanie w artystyczne piórka nadając mu w ten sposób „większą wartość”, więc i my możemy usprawiedliwić sumienie. Jedni zatem niszczyli książki podczas Nocy Kulturalnej, bo to była szansa by wyżyć się na zniechęconych lekturach, a inni, bo poczuli, że wymaga od nich tego Sztuka. Winni jesteśmy zatem wszyscy.

JL Teatr Blee chciał zwrócić uwagę na kondycję książki i nasz stosunek do niej. Udało mu się pokazać, jak niewiele potrzeba, by namówić społeczeństwo do masowego mordowania książki, by ramię w ramię stanęli obok siebie Ci którym literatura jest obojętna i Ci którzy ją kochają. Czy gdyby w środku miasta niszczyli na taką skalę chleb, czy dajmy na to obrazki z wizerunkami świętych, ich prowokacja zakończyłaby się podobnym sukcesem? Nie sądzę, opór widowni byłby zdecydowanie większy. Z książką im się to udało, bo niestety w znacznym stopniu straciła ona już swoją wyjątkowość i szlachetność. Dlatego też coraz bardziej obojęt-



Komu książkę, komu?, happening Autorskiego Teatru Blee



Komu książkę, komu?, happening
Autorskiego Teatru Blee

nie przechodzimy obok spadku statystyk czytelnictwa, faktu zamknięcia bibliotek i groźby zniesienia preferencyjnego podatku VAT na książki.

W związku z tym nie mogę się zgodzić z Julią, że akcja Teatru Blee „nie spełniła ani jednego z postulowanych celów”. W końcu to nie była akcja edukacyjna, która miała nawrócić na czytelnictwo. Nikt się chyba nie oszukiwał, że przez akcję performatywną da się bezpośrednio wpłynąć na czytelnictwo statystyki. Happening rządzi się swoimi prawami, nie da się go zaprogramować i oczekiwać konkretnych owoców.

Piotr Nita sięgnął po prowokację artystyczną, która na trochę innym poziomie popycha do myślenia i działania. Cała ta dyskusja oraz fakt, że ja, Julia i parę jeszcze osób ma po „komu, książka, komu?” kaca moralnego – to właśnie ten efekt. Ziarno, które udało się zasiać. Teatr Blee dopuścił się potwornej zbrodni, namawiając ludzi do niszczenia książek. Przemienił zachowania zasługujące na naganę w radosny piknik z grillowaną kiełbasą i zawodami sportowymi. Nie zamierzam ich usprawiedliwiać. Nagrzeszyliśmy również my, którzy daliśmy się w to zamieszanie wkręcić. Nie zmienia to jednak faktu, że „komu książka, komu?” okazała się bardzo udaną akcją. Nieoczywistą, spontaniczną i prowokującą. W moim odczuciu Częstochowa zasługuje na więcej takiej współczesnej i energetycznej twórczości.

AF

Noc w muzeum

Część wystawienniczą VII Nocy Kulturalnej zostawiłam sobie na koniec, jako że w tej kategorii właściwie nie przygotowano na tę Noc niczego specjalnego. W Miejskiej Galerii Sztuki królowały wystawy 7. Triennale Sztuki Sacrum, Muzeum Częstochowskie udostępniało aktualne ekspozycje, w tym najnowszą w Pawilonie Etnograficznym w Parku Staszica, czyli „Etnograficzny remanent” Andrzeja Wajdy, natomiast w Konduktorowni podziwiać można było prace Piotra Naliwajki. Czy można o tym mówić w kategoriach zarzutu? Może gdyby na codzien przez pawilony Muzeum i nasze lokalne galerie sztuki przetaczały się tłumy zwiedzających... Prawda jest jednak taka, że Noc Kulturalna mobilizuje do odwiedzania tych przybytków osoby, które na codzien raczej nie zapuszczają się w te rejony. Nocą zachodzi się tam niejako „po drodze”. Sama byłam świadkiem jak podchmielony już obywatel usilnie namawiał również „zmęczonego” kolegę, by ten udał się do Konduktorowni, bo tam są „za..fajne obrazy”. Prawdopodobnie, gdyby nie czar sobotniej nocy tacy delikwenci nigdy by w te progi nie zawitali.

Czas zatem na konkluzję. Naprawdę nie działa się nic. Nic niezwykłego. Tak powinien wyglądać każdy weekend w mieście tej wielkości. Jakies koncerty w klubach, kilka ciekawych wystaw otwartych dla zwiedzających, spektakle teatralne, filmy w kinie, jakiś zaskakujący happening na głównej ulicy, festyn rodzinny z atrakcjami dla najmłodszych. I tak coraz częściej częstochowskie weekendy wyglądają. Dzieje się w naszym mieście wiele, a jednak lokalna społeczność, jeszcze do tego nie przywykła i uczestniczy w imprezach kulturalnych nader powściągliwie. Lata kulturalnego zastoju zrobiły swoje i ważne jest, aby teraz owa powściągliwość odbiorców nie zniechęciła organizatorów imprez kulturalnych do dalszej pracy. Potrzeba zintegrowanego działania wszystkich instytucji kultury i lokalnych aktywistów podczas takich właśnie akcji jak Noc Kulturalna, aby tę naszą społeczność wyciągnąć z domów i wyprowadzić w miasto. A potem już każdy może odkrywać jego uroki na własną rękę i wedle upodobań.

AB

Wietrzenie szuflad

- podsumowanie kolejnej edycji Turnieju Jednego Wiersza

Agnieszka Batorek

Niektórzy być może powiedzą, że artyście żadne konkursy i nagrody nie są potrzebne, że powinien tworzyć wyłącznie z potrzeby serca. Owszem, zgodzę się, że wola tworzenia wystarczy, aby pisać do szuflady. Jednak by tę metaforyczną „szufladę” otworzyć i dotrzeć z dziełem do odbiorcy, warto czasem stanąć w szranki z kolegami „po piórze”. Turnieje poetyckie pozwalają artyście sprawdzić jak radzi sobie jego tekst w konfrontacji z publicznością, jaki jest jego odbiór wśród krytyków, czy bardziej doświadczonych literatów. Nagrody dodają pewności siebie, często otwierają też drogę do pierwszych publikacji i stypendiów twórczych.

Prawdą jest, że lokalne konkursy literackie, od lat organizowane wedle tej samej wytartej formuły, z roku na rok tracą na prestiżu. Zamiast rozwijać potencjał młodych twórców, studzą ich zapał i osłabiają chęć uczestnictwa w poetyckich zawodach. A szkoda, bo zdarzają się wśród uczestników prawdziwe talenty, które warto promować i zachęcać do dalszej twórczej pracy. Wystarczy wspomnieć, że wśród laureatów organizowanego w Częstochowie Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Haliny Poświatowskiej był zarówno gość poprzedniego numeru „Alej3”, Piotr Macierzyński, jak i gość numeru bieżącego, Jacek Dehnel, obecnie nominowany do Literackiej Nagrody Nike za „Ekran kontrolny”.

Turniej jednego wiersza organizowany przez OPK Gaude Mater pod hasłem „Strofa debiutu” w swojej obecnej formule skierowany jest przede wszystkim do poetów jeszcze raczkujących, na samym początku drogi. Nikt tu nie walczy o prestiż i splendor, niewielu też zapewne kusi nagroda pieniężna wysokości stu złotych. Myślę, że w przypadku tego konkursu chodzi przede wszystkim o pierwszą konfrontację z publicznością, z innymi twórcami, o pierwsze odczytanie drżącym głosem słów tak skrupulatnie składanych, za którymi często kryją się bardzo intymne emocje i doświadczenia. Organizacji i prowadzenia ostatniej edycji konkursu, która miała swój finał w czerwcu, podjął się Tomasz Jamroziński. W jury konkursowym zasiadali zarówno lokalni twórcy, jak i goście spoza Częstochowy: Rafał „Jeżyk” Kasprzak, Łukasz Suskiewicz, Sławomir Burszewski, Piotr Macierzyński (Łódź), Marcin Zegadło, Wojciech Brzoska (Katowice), Przemysław Owczarek (Łódź), Joanna Warońska, Robert Król, Szymon Grzegorzewski (częstochowianin, obecnie zamieszkały w Ryde, UK), Maciej Robert (Łódź), Arkadiusz Frania, Piotr Kuśmirek, Przemysław Witkowski (Wrocław).

Przyznam, że obserwując tegoroczną edycję zatęskniłam za Slam Poetry, konkursami organizowanymi niegdyś w nieistniejącym już klubie Utopia, a potem w Teatrze from Poland, kiedy ten rezydował jeszcze w Zaułku Wieluńskim. Brakowało mi tego entuzjazmu zarówno ze strony organizatorów, jak i prezentujących swoją twórczość poetów, brakowało przyjaznej, swobodnej atmosfery i spontanicznie reagującej publiczności. Nazwiska zaproszonych gości nie wystarczyły bowiem, aby do OPK Gaude Mater przyciągnąć amatorów poezji. Jury często sprawiało wrażenie znudzonego i zniechęconego. Podziwiam determinację poetów, którzy w takich warunkach zdobyli się na odwagę, by jednak wystąpić i zaprezentować swoje teksty. Szkoda, że było ich tak niewielu. Być może większa konkurencja wyzwoliłaby choć trochę emocji.

Wśród uczestników konkursu pojawiali się zarówno absolutni debiutanci, jak wieloletni turniejowi wyjadacze, których do amatorów zaliczyć trudno. Regulamin dopuszcza jednak do konkursu autorów z jedną publikacją książkową na koncie, więc o żadnym łamaniu zasad nie było mowy. Trzeba zresztą przyznać, że wśród laureatów konkursu prym wiedli jednak debiutanci: Mateusz Matyja, Katarzyna Zwolska i Mateusz Trzmiel. Czy zasłużenie? Oceńcie sami. Jeżeli miałabym osobiście kogoś wyróżnić na pewno byłby

to Mateusz Trzmiel. W tej edycji turnieju jednego wiersza triumfował aż trzykrotnie. Pamiętam, że wcześniej dwukrotnie zwyciężał również w Konkursie Poetyckim „Jesienne osvajanie słów” współorganizowanym przez „Aleje3”. Różne konkursy, na zupełnie innych zasadach (w konkursie „alejowym” wiersze zgłaszane były anonimowo, oznaczane jedynie godłem autora), różne składy jury i ten sam werdykt - to już daje pewną podstawę by sądzić, że młody człowiek poetą jest co najmniej obiecującym. Skądinąd wiem też, że Mateusz Trzmiel ma na swoim koncie również sukcesy ogólnopolskie. Uznałam w związku z tym, że warto przybliżyć czytelnikom sylwetkę młodego artysty, o co poprosiłam osobę jak najbardziej w tej materii kompetentną - jego nauczycielkę (poeta jest absolwentem VII LO im. M. Kopernika w Częstochowie).

Beata Gendek-Barhoumi o Mateuszu Trzmielu:

Kiedy przypominam sobie pierwsze spotkanie z Mateuszem, pamiętam burzę włosów i moje zaskoczenie dojrzałością tekstów pokazanych mi na szkolnym korytarzu. O twórczości Mateusza opowiedziała mi jego przyjaciółka, a moja uczennica, wyjaśniając, że młody poeta jest osobą wrażliwą i niepewną swojej wartości. Zgodziłam się przeczytać jego teksty, bo choć wśród uczniowskiej poezji pełno jest młodocianej grafomanii, zdarzają się i perełki. Wiersze Mateusza nie były bezradnymi wprawkami. Co więcej, mogłam się zgodzić w stu procentach, że pisała je osoba wrażliwa, dysponująca wspaniałym zmysłem obserwacyjnym i, mimo młodego wieku, niezwykle siebie i świata świadoma.

Osobowość Mateusza poznawałam też na zajęciach koła teatralnego, gdzie podczas pracy nad tekstem i procesu budowania roli „Czmielu” (tak nazywany jest Mateusz przez przyjaciół ze sceny) ujawniał swój potencjał i wiele jego pomysłów dotyczących ustalenia ruchu scenicznego czy doboru rekwizytów to strzały w dziesiątkę.

Inspiracji dla swych wierszy Mateusz szuka w codzienności. To powszedniość tematyczna i językowa. Wprowadza odbiorcę w świat starych mebli, przedmiotów codziennego użytku, ulubionych ubrań, zwyczajów swoich i domowników. Pojawia się w wierszach tran z wątroby rekina, pudełeczko z przegródkami na leki, urwany guzik płaszcza, plastikowi rycerze i inne zabawki minionego dzieciństwa. W tej młodzieńczej twórczości widać szukanie własnej osobowości wynikające z dorastania właśnie. Jakby Mateusz co dzień odkrywał na nowo, że pewien etap w życiu minął, że trzeba ustalić własne priorytety, że trzeba podjąć się nowych obowiązków, choćby prasowania koszul.

To odkrywanie jest też zaskoczeniem różnorodnością osobowości, zalet i wad, przyzwyczajęń i śmieszności. Pamiętam rozmowę z Mateuszem o tradycjach rodzinnych, drzewie genealogicznym i przypominam sobie ogromną sympatię z jaką mówił o najbliższych, o seniorach rodu i powstającej w wersji książkowej historii jego rodziny. Mateusz jakby na nowo odkrywa znane mu od lat zjawiska i przedmioty. Wzniosłość i prozaiczność, uczucia, o których umie mówić bez banału. Powszedniość widoczna jest też w języku, w zestawieniu frazeologizmów,

w wyliczeniach, prozaizmach. W język ten ubiera Mateusz zarówno codzienne zwykłe sytuacje (choćby, wspomniane już prasowanie czy nastawianie budzika), jak i interpretacje tekstów kultury np. wiersz inspirowany lekturą powieści Kunczewiczowej „Cudzoziemka” [wiersz nagrodzony w październikowej „Strofie” - przyp. red.], czy jeden z moich ulubionych wierszy - „Próba przeliterowania słowa alleluja”, gdzie stara się indywidualnie odczytać tajemnice chrześcijaństwa.

Mateusz ma za sobą także i próbę napisania dramatu, z której, moim zdaniem, wywiązał się znakomicie, tym bardziej, że kanwą tego utworu były teksty Zbigniewa Herberta. Młody twórca uciekł od łatwej kompilacji wierszy a zainspirowany interpretacją tekstu „Siódmy anioł” ukazał interesujące studium grzechu. Pozostaje mieć nadzieję, że Mateusz kiedyś do takich prób wróci, o ile już tego nie zrobił. Jego cechy to skromność i skrytość. I znów nasuwa mi się wspomnienie, gdy Mateusz o kolejnym ogólnopolskim sukcesie informował lakonicznym sms-em. Chyba najważniejsze jest dla niego wewnętrzne przekonanie, że coś zrobił naprawdę dobrze. A poza tym Mateusz kojarzy mi się ze zdecydowaniem, erudycją i nieprzeciętną inteligencją, z ogromnym poczuciem humoru wynikającym z szybkości skojarzeń a także z niesamowitym wyczuciem warstwy brzmieniowa słów a zatem na koniec, ku uciesze Mateusza- *bajadera w saszetce wezyra*, czyli życzenia samych sukcesów poetyckich i aktorskich.

Beata Gendek-Barhoumi jest nauczycielem języka polskiego, a także opiekunem koła teatralnego VII LO - Grupy pod wążącym kotem.

Strofa Debiutu 2009/2010 - laureaci

WRZESIEŃ 2009

Katarzyna Zwolska

* * *

to wstyd
położył ręce
pod kolor sukienki
pierwszy raz

smakował tynkiem
pachniał kartonem

w tej pozycji
mogła tylko
trzeć ścianę
wierzchem dłoni

piękna sześciolatka
potrzebna na gwałt

Mateusz Trzmiel

* * *

dzień był wietrzny,
temperatura w cieniu nie przekraczała dwudziestu dwóch stopni,
ciśnienie dość wysokie – wypijaś tylko jedną kawę,
o wilgotności powietrza nie wspominam,
na pewno było ciężkie to powietrze, bardzo ciężkie.

właśnie wtedy między szesnastą a siedemnastą trzydzieści pięć
dowiedziałem się, że gorąca herbata parzy dłonie,
mimo że było to stosunkowo dawno,
bo miałem zaledwie sto pięćdziesiąt siedem lat,
ciągle pamiętam, że ta herbata była gorzka.

może wszystko wyglądałoby inaczej,
gdybyś usiadła na tym cholernym parapecie,
w otwartym oknie,

z nogami skrzyżowanymi na pustej doniczce,
bo wtedy była taka moda na puste doniczki zamiast kwiatów
i na twoje nogi też była moda,
i gdybyś przez chwilę była obrazem,
powiedzmy, że przez dwie chwile.

może nie rzucałabyś siekaną wołowiną
do tej doniczki.

może ja bym powiedział
nic już więcej o tobie nie napiszę –
z takimi nogami pisz się sama.

PAŹDZIERNIK 2009

Mateusz Trzmiel

Możesz wcześniej nie dzwonić, nie mam telefonu

nazywam się Róża,
a ty właśnie szarpiesz moje struny tłuczkiem do mięsa,
dłubiesz w klawiszach małym widelcem,
upychasz rozgotowane kartofle do skrzypiec.

ja leżę w przedpokoju
w zastygającym kłębie rozsypanego pudru.
zerkam, czy jeszcze, czy już.
czekam już, a ty jeszcze.

ty wyjdiesz,
ja umyje sztucce, odłożę tłuczek do szuflady,
kartofle rzucę gołębiom i położę się w przedpokoju
poprawię włosy i zacisnę gorset.

LISTOPAD 2009

Katarzyna Zwolska
Strach

pamiętam cień
prosto padał
równy leżał
pod trzepakiem
zwiślał z chodnika

nie mogłam odlecieć



na dywanie
skrzydełkach z kurczaka
różowej piersi matki

on był
pozycją stojącą
brudnym opuszkiem
palca
oknem piwnicy

w chronicznej pustce
podwórka
grzebał mnie w piachu
pamiętam
im głębiej tym zimniej

GRUDZIEŃ 2009

Grzegorz Jędrak Baśni z końca poezji głoszonego rankiem w kaplicy

wszyscy mnisi górskich klasztorów w bejsbolowych czapkach
jeden wielki skansen pełen baniek mydlanych i wiatru
słyszysz jak śpiewają zastępy świętych i nalanych twarzy
mecz o własną duszę z sobą samym i pustymi trybunami

jeden wielki skansen pełen baniek mydlanych i wiatru
przywołanych przez dziecko - trzymam je mocno za włosy
mecz o własną duszę z sobą samym i pustymi trybunami
chciało być nieśmiertelne mieć złego bliźniaka: jing i jang

- przywołane przez dziecko - trzymam je mocno za włosy
a ono krzyczy do was: usiądźcie wygodnie na krzesłach
chciało być nieśmiertelne mieć złego bliźniaka: jing i jang
i toczyć bój o prawdę taki mecz kosmiczny i kosmaty Chrystus

a On krzyczy do was: usiądźcie wygodnie na krzesłach
patrzcie jak z magicznych znaków wypływają do was światy
i toczą bój o prawdę taki mecz kosmiczny i kosmaty diabeł
za włosy trzymam do już tylko by nie złączył się z przepaścią

STYCZEŃ 2010

patrzcie jak z magicznych znaków wypływają do was światy
słyszysz jak śpiewają zastępy świętych i nalanych twarzy
za włosy trzymam ich już tylko a oni łączą się w przepaścią
wszyscy mnisi górskich klasztorów w bejsbolowych czapkach.

Mateusz Szkop Soc Real Love

na lewo mokro, na prawo mokro
plucha osiedla prosi o dotyk
między betonowymi płytami
miejsce intymne
zakaz odbijania piłek
mówimy więc niewiele
wystarczy „to ja” jakby przez
domofon, żeby wejść
schemat niezbyt wyszukanej
architektury słów i gestów;
schody w zaparciu między piętrami
zimne poręczce pościelone azbestem
parapety, parytety, wnikliwy wzrok lastryko
mógłbym tak jeszcze
doniczki sprzyjają zazwyczaj krótkim formom

LUTY 2010

Mateusz Matyja Motyw

był upał
i jeden z tych czarnych placów
jakich jest wiele na zapleczach tego kraju
wyłożony kapslami niedopałkami papierosów
i szkłem
urządzony ławką
kogoś własnej roboty
przecinając go
słyszał każdy swój krok
chrzęst drobnych kamyczków pod podeszwą
grzechotkę zakrętki
muzykę zza budynków
po godzinach



wszedł do mieszkania
 wytarł spoconą twarz
 założył świeżą koszulę
 wiatr oknami tłoczył gorące powietrze
 zostawił guzik
 odsunął szufladę pod telewizorem
 wypełnioną lukrowanymi buteleczkami
 białymi pigułkami
 i innymi lekami na serce
 zabrał stamtąd pieniądze
 nakręcił zegar stojąc na krześle
 usiadł przy stole
 w głowie słyszał ostatnie słowa matki
 przypominające skowyt
 nad zwichniętym miotem
 teraz leżała w przedpokoju
 a jej rozbita głowa
 tworzyła pieczęć z podłogą
 z siwych włosów zaschniętej krwi i kurzu
 wszedł do jej sypialni
 tam w szafce przy łóżku stało radio
 o istnieniu którego nikt na tym świecie nie miał pojęcia
 wyłączył je po raz pierwszy od trzydziestu lat
 ulice oddawały ciepło
 wzmagając aromat przetrawionego alkoholu
 szedł jedną z nich
 prowadziła do centrum

gdzie była głośna muzyka
 pachniało kielbasą
 a pod wielkimi parasolami siedzieli mężczyźni
 ich czerwone karki
 wylewały się na białe kołnierzyki
 sukienki przylepiały się do spoconych ciał
 tańczących kobiet
 nocą rzeka wezbrała odwróconą ławicą
 zatrzymaną przez położoną trzcinę
 jego ciało znaleziono na brzegu
 był w podartej koszuli
 w jednym bucie
 z podkulonymi rękoma
 leżał w mokrej trawie
 twarzą do ziemi

MARZEC 2010

Nie wyłoniono laureata

KWIECIEŃ 2010

Anna Głąb

Odnalezienie współrzędnych
 moich uczuć do Ciebie
 znów kończę układem
 starannie dobranych niewiadomych
 których rozwiązania
 przyjdzie mi szukać
 pomiędzy punktem A i punktem G
 gdy znów nie wrócisz na noc

Obliczenia stosunku
 mojego spotęgowanego gniewu
 do uległości dla
 twych tak nieprzyzwoicie
 uwodzicielskich oczu
 wciąż pozostawiam bez wyniku
 nie mogąc zgodzić się
 z zasadami dzielenia i mnożenia

Kolejny raz liczę prawdopodobieństwo
 odnalezienia przy Czyimś boku
 prawdziwie wielopłaszczyznowego szczęścia
 odwrotnie proporcjonalnego do ilości
 wylanych przeze mnie łez
 jednak po raz n-ty
 wydaje się ono
 być bliskie zeru

Czy to równanie jest sprzeczne?

Mateusz Trzmiel

mogę wyprasować wątrobę,
 rozwiesić nogi na sznurku do prania,
 wywietrzyć płuca,
 taplać się w krwi urwanych rąk
 jak gołąb,
 wiedząc tylko tyle,

MAJ 2010

że mam dwa żołądki.
ale nie mam dwóch
i za Chiny Ludowe
nie będę dobrym synem, tato.
mogę tylko wyrzucać śmieci.

Mateusz Matyja

nadal tu jesteś
na wciąż tak bezczelnie
jak kornik który toczy drewno przy zapalonym świetle
niecierpliwie
w mojej obecności
choć mrok
skąpiec
zepchnął mnie w kryształ
nadal przecinasz struny
karatu
barwnej pajęczyny
uwolniłaś mnie
a ja się zerwałem
nie płochliwie
z korony Twoich rozłożonych nóg
wzbiłem się
dla ciebie tylko mgnieniem
gdy dla mnie
białymi nocami
białymi nocami
białymi nocami
wtedy powiedziałaś że wysoko postawiony anioł
zamieszkał na stałe
w dole ulicy
a twoja nagość
rodzi się
pod jego palcami

CZERWIEC 2010

Robert Suliga Zbyt długo nic nie czuję

mam ochotę
i też wprawiam
myśli te w działanie
w myślach
powbijać sobie
młotkiem gwoździe
w ręce
jak pędzlem
maczać nożem w ogniu
rysować po klatce
uchwycić chwilą
za skrzydła ptaka
aby wzniósł mnie – zrzucił w dół
i gdybym tylko mógł
rozłożyć swą dłoń
unieść czubki palców
jak róża płatki
urosnąć w pion
okryć napięciem kości
choć na te setki chwil z dnia
rozbudzić ciało jak łodyga siebie w wodzie
rozłożyłbym się na części
ze szczęścia
przegryzłbym wargi zębami
wyciął nożyczkami
rozsarpał na pół
zjadłbym
potem za ostrzem
wepchną dłoń do żołądka
wyjął ją i przyszył na miejsce
poznając każdą nutę
wypuszczaną z oddechu
zmysłów
raniłbym się
zabijałbym się
...
gdybym nagle przestał być tylko workiem



Aleksander Wierny

JUŻ

Pierwsza plama na twojej kraciastej spódniczce, nieregularna, opierająca się z uporem najlepszym proszkom do prania pamiątka po winie, zlokalizowana w niefortunnie widocznym miejscu, płowoczerwony znak roztargnienia, który zabiera ci ulubioną rzecz, odbiera radość otwierania szafy.

Głęboka rysa na wyświetlaczu twojego telefonu komórkowego przeorała światło emanujące z tej doskonałej konstrukcji, odebrała jej perfekcję, wpędziła cię w obsesyjne poszukiwanie przyczyn - klucze od samochodu w tej samej kieszeni? Nieopatrzne spotkanie z filiżanką na twoim szerokim, mocnym biurku, zza którego ostrzeliwujesz świat poleceniami i napomnieniami?

Kremowy stół, wypatrzony w wielkim salonie meblowym, gdzie wyedukowani na uniwersytetach w historii sztuki sprzedawcy cichymi głosami doradzają znużonym luksusom kobietom, gładkimi dłońmi dotykają śliskich, błyszczących powierzchni - na kremowy stół pochodzący z tego miejsca przewrócił się twój pijany mąż, miażdżąc go na drzazgi.

Kuta brama, zaprojektowana tak, żeby od chwili zamontowania epatowała patyną, sugerując wiekowym wyglądem, że prowadzi do nobliwej posiadłości, siedziby ludzi majątnych, ale wyzbytych potrzeby eksponowania bogactwa, zardzewiała po trzech deszczowych dniach.

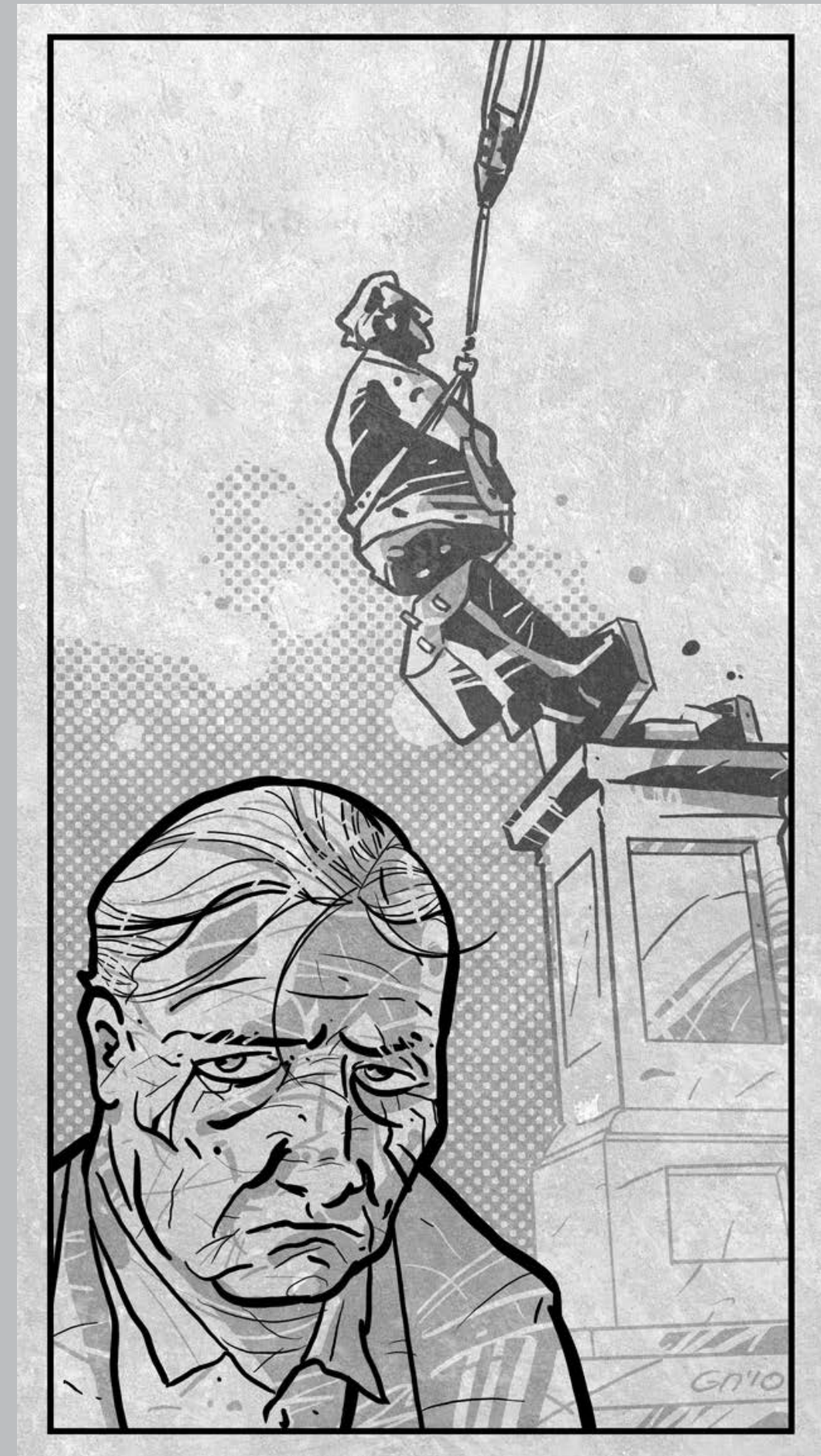
Butelka śliwownicy spadła na podłogę, wszędzie rozszedł się zapach alkoholu, a przecież miała uwieńczyć podwyżkę, chciałeś ją wypić wieczorem, po długiej, męskiej rozmowie z szefem, który wyznaczyłby ci nowe obowiązki, dając zarazem do zrozumienia kilkoma poufnymi informacjami, że właśnie wkroczyłeś w krąg najbardziej wtajemniczonych.

Zapalniczka Zippo, model wprawdzie najtańszy, ale opatrzony logo, o którym marzyłeś, z jasnym, radosnym płomieniem rozbłyskującym obok twojej twarzy za każdym razem, kiedy zapalałeś papierosa, pozwalała ci czuć pewność, zadowolenie i stabilizację (zapaliwszy papierosa mocno ją obejmowałeś, oddawałeś metalowej powierzchni ciepło wnętrza dłoni), ale teraz musisz korzystać ze zwykłych, plastikowych zapalniczek, bo Zippo zginęła podczas spaceru do parku.

Sklep w starej kamienicy z niebieskawą elewacją, w którym od piętnastu lat prawie codziennie robiłaś zakupy, a od przejścia na emeryturę i śmierci męża znajdowałaś także wyrwy w samotności, zmienił się w gwarny bar, martwy za dnia, pełen obcych młodych w nocy.

Posąg mieszczanina, który w dziewiętnastym wieku szalonymi poczynaniami kupieckimi zapoczątkował rozkwit twojego miasta, wyrwał je z błota wąskich uliczek i przesiąkniętych stęchłą sklepików pasmanteryjnych, dzięki czemu żyjesz teraz w przestronnej przestrzeni publicznej, w mieście szerokich alej i wygodnych budynków wszelkiej użyteczności. Posąg mieszczanina, pod którym umówiłeś się na pierwszą randkę pada pod ciosami koparki, bo tak zdecydowali urbaniści, kiedy jednym śmiałym ruchem komputerowej myszki zmienili projekt i posłali statuetkę w niebyt, żeby wytyczyć kolejną atrakcyjną dla pojazdów i pieszych arterię.

Przedmioty przechodzą w stan spoczynku, popieleje pamięć o nich, miejsca zmieniają się niepostrzeżenie, zniemacka nabierają obcych, kanciastych kształtów. Codziennie kruszeje substancja, z której zbudowano świat, rozplywa się sens rzeczy, stanów i procesów. Wyciągasz rękę, żeby uchwycić ciepłą, przyjazną dłoń rzeczywistości, ale chwytają ją ostre, wampirze pazury chaosu. Nikt nie usłyszy twojego protestu, nikt nie wskaże drogi ucieczki, nikomu nie możesz zaufać, bo nikt nie



ma wiedzy wystarczającej, żeby zrozumieć, dlaczego atomy się rozpierzchają, zamiast ułożyć się w przyjazny uśmiech, zrozumiały znak. Przemienisz, odejdziemy, zniknę jak dym ze śmiertelnie niebezpiecznego papierosa. Za chwilę, za sekundę. Już.

INNI

Tuż obok, bardzo blisko, cały czas dzieje się zło, małe i duże, ważne i nieważne.

Kilka metrów pod trotuarem, po którym stąpasz z niedbałą pewnością, w kanale burzowym rozkładają się zwłoki kobiety. O jej zaginięciu czytałeś pięć tygodni temu, patrzyłeś na opublikowane w gazecie zdjęcie trzydziestoletniej blondynki o miękkich ustach. Zastanawiałeś się, czy uciekła z domu wiedzona szaloną miłością, czy spotkała na swojej drodze kogoś, kto ją uśmiercił (bo chciał obrabować, albo zgwałcić, albo przejechał ją samochodem).

Przejeżdżający samochód, którego kierowca, ogorzały mężczyzna ze szpakowatymi wąsami, wystawił na zewnątrz łokieć i trzyma kierownicę dwoma palcami lewej dłoni, a prawą przyciska do ucha telefon komórkowy, wrzeszczy i poci się - przejeżdżający obok ciebie samochód kryje w bagażniku skradziony telewizor, komputer, odtwarzacz płyt i biżuterię.

Tuż za rogiem, kilka kroków od ciebie robotnik naprawiający chodnik, wielki, wąsaty mężczyzna, widoczny z daleka dzięki pomarańczowej kamizelce, zamiast się skupić na równym układaniu czerwonej kostki, udaje, że musi uzupełnić piaskowy fundament traktu. Leniwymi ruchami nabiera łopatą piach z wydmy usypanej na trawniku, ale kiedy widzi młodą kobietę, zniechęca wyrzuca go w powietrze, żeby ofiarę przykryła gryząca chmura. Śmieje się wtedy szczerym, tubalnym śmiechem i pozostaje bezkarny, bo nawet jeżeli zaatakowana ma u swojego boku męskiego towarzysza, potężna postura robotnika skutecznie zniechęca do odwetu.

Do twojej skrzynki e-mailowej trafia spam (dywanowe naloty trwają także wtedy, kiedy śpisz i przebywasz z dala od pola mentalnej bitwy toczącej się w ramach wirtualnej wojny każdego z każdym), a gdybyś otwierał listy kuszące szczęściem w seksie i dostatkiem finansowym, odkryłbyś szybko, że zawierają odnośniki do stron wyludzających twoje dane, a te posłużą do manipulacji, za sprawą których do twojej skrzynki trafi jeszcze więcej e-mailowych śmieci.

Codziennie mijasz bramę wiodącą do domu otoczonego ogrodem, pełnym soczyście zielonych krzewów i kolorowych kwiatów. Właśnie tutaj, za drzwiami z kołatką w kształcie głowy satyra muskularny mężczyzna metodycznie bije drobnokościstą kobietę, uderza w plecy, pośladki, uda, żebra, brzuch, małe piersi. Nie chce zostawiać śladów widocznych w przestrzeni publicznej, i ta strategia daje mu sukces: gdy spotykasz kobietę, uśmiecha się nieśmiało i cicho odpowiada na sąsiedzkie powitanie, po czym szybko wraca do domu, ponownie poddaje się mocy mężczyzny, bo cierpienie odebrało jej wolę.

Ktoś, kogo nie znasz, podrzuca swoje śmieci do opłacanego przez ciebie i twoich sąsiadów pojemnika. Czyni to ukradkiem i mimo starań i nocnych wart nie potraficie go schwytać, chociaż obce odpadki pojawiają się codziennie, więc statystyczna możliwość przyłapania nieuczciwie oszczędnego nieproszonego gościa jest tak wysoka, że prawie daje pewność powodzenia, ale na razie ciągle czekacie, stróżujecie, pilnujecie.

W biurze, gdzie jesteś sekretarką, widzisz za przeszkłonymi drzwiami twarz swojego szefa, błądą w poświacie emitowanej przez monitor komputera. Myślisz, że zbyt dużo pracuje, że zanadto się przejmuje swoimi obowiązkami, o czym świadczy nie tylko niezdrowa barwa skóry, lecz tak-

że ciągle zaciskane szczęki. Nie widzisz ekranu, a na nim płynnie przesuwały się wykresy i tabele, z których niezbitcie wynika, że pieniądze przeznaczone na ubezpieczenie czterystu siedemdziesięciu czterech pracowników i ciebie właśnie przelewają się gwałtowną falą na konto twojego szefa. Okrada cię, potem prosi o kawę.

Sprzedawca, który pomaga ci wybrać gatunek jabłek, tak kompetentnie i życzliwie, że w końcu za jego radą wybierasz tańsze owoce (słodkie, soczyste, smaczne – zapewnia), na skutek tej transakcji zarobi mniej, niż powinien, ale nie zdradza gorzkiej tajemnicy: kupił je dawno temu od niepewnego dostawcy, który zadowolili się niską ceną i zniknął, więc handlarz jest pewien, że jabłka mają feler, choć nie jest pewien, jaki.

Tuż obok, bardzo blisko, cały czas dzieje się zło, małe i duże, ważne i nieważne. Czasem czynią je także inni.



Janusz Mielczarek Ostatnia harcerska przygoda

Był rok 1950 i polskie harcerstwo atakowała zaraza radzieckich czerwonych pionierów. Korzystając z wolnych dni Zielonych Świąt (były wtedy dwa dni świąteczne), część naszej drużyny harcerskiej z Liceum im. Sienkiewicza wybrała się na biwak w okolicę Julianki - Przyrowa. Poza drużynowym i trójką ośmioklasistów: Jackiem Bieszczaninem, Jankiem Kucharskim i moją osobą, pozostali byli uczniami sienkiewiczowskiego powszechniaka, jaki wówczas od kilku lat istniał w tej szkole. Zabraliśmy ze sobą prowiant: chleb, ziemniaki, kasze, cukier i inne produkty niezbędne do przetrwania dwóch dni. Sklepy na ówczesnych wsiach występowały bardzo rzadko (zwalczana przez ustrój „prywatna inicjatywa”), a ich podstawowym zaopatrzeniem była nafta do oświetlenia, karbid (o elektryczności na wsi jeszcze nie śniono), sól, dwa razy w tygodniu chleb i landrynki. Mieliśmy również namiot. Był to sprzęt z demobilu wojennego, włoskiego pochodzenia, z grubego brezentu, bez podłogi, z drewnianym „parasolowym” stelażem. Mieścił nas wszystkich i był na tyle wysoki, że można się w nim było swobodnie poruszać. Był jednak ciężki, ważył na pewno ponad 20 kilogramów. Od stacji kolejowej w Juliance najstarsi nieśli go dwójkami, na zmianę. W czasie zmiany mojej i Janka Kucharskiego przejeżdżająca drogą furmanka zabrała namiot razem z nami i zadowolonych dowiozła do Przyrowa. Jak się później okazało, za daleko.



Grupa harcerzy z ekwipunkiem po wyjściu z pociągu koło stacji Julianka.

Na skałkach obok których założono biwak, od lewej: Janek Kucharski, Jacek Bieszczanin i autor wspomnienia.



Nie mogąc się doczekać na chłopaków, zostawiliśmy namiot na posterunku milicji (milicjant nazywał się Jagoda) i wróciliśmy na ich poszukiwanie. Było ciemno kiedy doszliśmy do drogi prowadzącej w kierunku Żurawia. Znowu udało nam się zabrać na przejeżdżającą konną bryczkę, której właściciel po odwiezieniu ludzi na pociąg do stacji w Juliance wracał do domu. Droga prowadziła przez las, w którym mogli biwakować nasi koledzy, ale krzyki i nawoływania pozostały bez odzewu. W Żurawiu dobrzy ludzie nakarmili nas i dali spanie na łóżku pod pierzyną. Rano znowu rozpoczęliśmy poszukiwania. Okazało się, że harcerski biwak był ok. 15 - 20 metrów koło drogi, którą jechaliśmy w nocy. Nic nie słyszeli. Nie mając namiotu spali pod gołym niebem. Po reprimendzie i krupniku z kociołka zagęszczonym spadającymi z sosen igłami i różnymi stworzonkami, wspomniana wcześniej trójka ruszyła do Przyrowa po namiot. Później obozowisko przeniosło się na skałki w lesie, bliżej wsi, odkryte przez nas w czasie porannych poszukiwań, gdzie już bez przygód dotrwaliliśmy do niedzielnego powrotu.

P.S.: Czym było dla wielu z nas harcerstwo niech świadczy przykład wspomnianego wcześniej Jacka Bieszczanina - do dzisiaj aktywnego zawodowo lekarza - który wśród ważnych pamiątek przechowuje fiołkę z węglem z obozowego ogniska, przy którym o północy składał Harcerską Przysięgę.

Życie towarzyskie i kulturalne w Częstochowie do końca XIX wieku

Anna Dylewska

Do końca drugiej dekady XIX stulecia życie miejskie rozwijało się w dwóch oddzielnych ośrodkach - Starej Częstochowie nad rzeką i Nowej Częstochowie rozlokowanej pod górą klasztorną. Miasto Częstochowa na lewym, zachodnim brzegu Warty założył - po roku 1369 a przed 1377 - książę Władysław Opolczyk. Znajdowało się ono około 2 km na wschód od wsi Częstochowa położonej u północnego podnóża wzniesienia zwanego Jasną Górą, zasiedlonej prawdopodobnie w końcu XII wieku. Obie osady leżały przy trakcie prowadzącym z Krakowa na Śląsk i do Wielkopolski. Na wzgórzu w 1382 r. Opolczyk ufundował klasztor dla sprowadzonych z Węgier zakonników św. Pawła Pierwszego Pustelnika, a dwa lata później przywiózł tutaj z Rusi otaczany wielką czcią obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem. Dzięki tej decyzji klasztor jasnogórski z czasem stał się centrum kultu maryjnego w Rzeczypospolitej. Dla odróżnienia osadę nazywano Częstochówką, a kiedy w roku 1717 otrzymała prawa miejskie została Nową Częstochową.

Miasto Częstochowa powstało na planie nieregularnego prostokąta na osi północ - południe wokół stosunkowo dużego, prostokątnego rynku o wymiarach ok. 70 m na ok. 120 m, z siecią ulic przecinających się pod kątem prostym. Przy rynku

wzniesiono ratusz, w którym odbywały się sądy i posiedzenia rajców, mieściły urzędnia wagi miejskiej i więzienie. W rynku znajdowała się studnia oraz stały kramy i jatki mięsne, w narożniku południowo-zachodnim murowany, orientowany kościół parafialny. Do końca wieku XVIII prawie cała zabudowa była drewniana. Ludność miasteczka w XVI wieku licząca około 1500 osób, która w XVII wzrosła do około 2500, a pod koniec XVIII do 5000 osób, zajmowała się rzemiosłem, handlem i rolnictwem. Pracowite, monotonne życie miasta urozmaicały niedzielne nabożeństwa, procesje, odpusty, okolicznościowe uroczystości religijne oraz obrzędy i zwyczaje związane z porami roku liturgicznego.

Życie towarzyskie rozwijało się w szynkach i karczmach, gdzie przy piwie lub gorzałce spotykali się patrycjusze, pospólstwo i plebs, tam również odbywały się spotkania cechowe. Przy rynku znajdował się, należący do starosty olsztyńskiego, zajazd z wyszynkiem, a przy ulicy Targowej karczma wójtowska. W niedziele, zwłaszcza w okresie mięsopustu (zwanego później karnawałem), w karczmach wolno było urządzać zabawy. Ustalonym regułem towarzyskim podlegały także odwiedziny w domach prywatnych. Zasady dotyczące przestrzegania i honorowania pozycji społecznej obowiązywały np. gości weselnych, którym nie tylko wyznaczano odpowiednie miejsce przy stole, ale i podawano bardziej lub mniej wyszukane potrawy i napoje. W bogatych

domach w przyjęciach weselnych uczestniczyło niekiedy kilkaset osób, w tym bliźsi i dalsi sąsiedzi. Z okazji ślubu mieszczaństwo miało prawo sami wyprodukować pewną ilość piwa.

Obowiązkiem, nie tylko religijnym, ale i towarzyskim był udział w uroczystościach pogrzebowych i nabożeństwach żałobnych, których oprawa zależała od zamożności zmarłego i roli jaką zajmował w społeczności miasteczka. Raz w tygodniu odbywały się na rynku targi, a kilka razy w roku - jarmarki. Gawiedź przyciągały publicznie wymierzane kary i egzekucje. Do miasteczka zaglądali wędrowni sztukmistrze, akrobaci czy niedźwiedznicy.

W okresie staropolskim droga krakowska biegła przez miasto ulicą Senatorską. Przed bramą południową rozwidlała się w kierunku klasztoru i kościoła św. Barbary. Za rogatką północną droga krakowska skręcała na zachód w stronę Częstochówki wzdłuż traktu do Wielunia (obecne ulice Krótka, Jasnogórska, 3 Maja i Wieluńska). Jej przedłużeniem w kierunku północnym był gościniec prowadzący do Piotrkowa (gdzie od XVI wieku usadowił się trybunał koronny) i dalej do Warszawy, od roku 1596 stolicy Rzeczypospolitej.

Sąsiedztwo z jasnogórskim sanktuarium przynosiło mieszczaństwu niemałe korzyści. Na wzgórzu klasztornym, dzięki królewskim, magnackim, szlacheckim i kościelnym fundacjom, wotom i darom, powstał imponujący zespół dzieł architektury, sztuki i rzemiosła artystycznego, symboliczny pałac - *palatium*



marianum, wzniesiony dla chwały Bogurodzicy obecnej w cudownej ikonie. Rosnąca wciąż sława Jasnej Góry, opowieści i druki o łaskach i uzdrowieniach za wstawiennictwem jasnogórskiej Madonny przyciągały rzesze wiernych. Pielgrzymi płacili za noclegi i wyżywienie, robili zakupy, nabywali między innymi święte obrazy i pamiątki wyrabiane na miejscu. W związku z tym w Częstochowie rozwijało się rzemiosło produkujące na masową skalę kopie cudownego wizerunku, obrazy świętych patronów, ryngrafy, szkaplerze oraz inne dewocjalia. Ich sprzedaż trudnili się sami wytwórcy, ale przede wszystkim handlarze zwani obraźnikami, oferujący towar na straganach i w sklepach rozlokowanych pod klasztorem.

Obecność cudownego obrazu NMP dla Częstochowian miała przede wszystkim znaczenie sakralne. Uczestniczyli oni w świętach maryjnych i innych obrzędach religijnych wspólnie z wiernymi, którzy na Jasną Górę docierali z odległych nawet regionów kraju. Jednocześnie bezpośredni kontakt z mieszkańcami różnych dzielnic Rzeczypospolitej w pewien sposób zaspokajał ciekawość „zagranicy”. Przyjazdy pielgrzymów z wyższych warstw społecznych, podróżujących w otoczeniu własnych dworów, spełniały rolę niezwykle barwnego i atrakcyjnego widowiska. W roku 1644 głośno było o konsekracji nowej kaplicy Najświętszej Marii Panny, zbudowanej na koszt prymasa Macieja Łubieńskiego, na którą zjechali hierarchowie kościoła, dygnitarze państwowi, magnaci i senatorowie, nierzadko z żonami dalsza i okoliczna szlachta. Mieszczanie gromadzili się na trasach przejazdu orszaków dostojnych pielgrzymów podziwiając przepych i bogactwo strojów, powozów i zaprzęgów końskich oraz liczebność służby. Duże zainteresowanie wzbudziła też uroczystość poświęcenia nowego ołtarza Matki Bożej w roku 1650, wzmocnionego

dzięki wsparciu kanclerza koronnego Jerzego Ossolińskiego. W 1682 roku obchodzono z wielką pompą trzechsetną rocznicę założenia klasztoru i przywiezienia cudownego wizerunku. W roku 1717 biskup Krzysztof Szembek udekorował jasnogórski obraz koronami ofiarowanymi przez papieża Klemensa. Uroczystość ta, na którą przybyło dwieście tysięcy pielgrzymów była największym zgromadzeniem w Częstochowie w wieku XVIII.

Na Jasnej Górze odprawiano pogrzeby zasłużonych dobrodziejów klasztoru, np. zmarłego w 1645 Kaspra Denhoffa, wojewody sieradzkiego, marszałka dworu królowej Cecylii Renaty, właściciela sławnego w całej Rzeczypospolitej pałacu w Kruszyńcu. Jego ciało złożono w krypcie grobowej pod ufundowaną przez siebie kaplicą św. Pawła i Pustelnika, gdzie pochowano także członków jego rodziny. W roku 1755 odbył się pogrzeb innego wielkiego protektora paulinów, wojewody rawskiego Stanisława Wincentego Jabłonowskiego, który na miejscu kaplicy Aniołów Stróżów z pierwszej połowy wieku XVII postawił własne mauzoleum grobowe. Na uroczystości funeralne z własnymi dworami przyjeżdżali przedstawiciele rodów magnackich i szlacheckich, spokrewnionych i skoligaconych ze zmarłym, a także znajomi i sąsiedzi. Z okazji pogrzebu w kościele wznoszono katafalk, tzw. *castrum doloris* (zamek boleści), udekorowany żałobnymi tkaninami, chorągwiemi, portretami zmarłego, czasem także rzeźbami. Teatralna inscenizacja ceremoniału pogrzebowego, zwanego przez współczesnych *pompa funebris*, z udziałem świeckich i kościelnych dostojników stanowiła niebywałe widowisko.

W codziennym życiu małej, prowincjonalnej Częstochowy niecodziennym wydarzeniem stały się pobyty na Jasnej Górze głów koronowanych, najczęściej przy okazji ich podróży z Krakowa do Warszawy lub

odwrotnie. Ponieważ paradne wjazdy były bardzo ważną częścią kultury staropolskiej, przybycie do klasztoru samego króla musiało mieć niezwykłą oprawę. Obwieszczały je salwy armatnie, głośnie trąb, bicie dzwonów. Zwykle poczet królewski zbliżał się do Jasnej Góry od strony miasta, nierzadko przejeżdżając jego ulicami; u bram witał króla burmistrz, wójt, rajcowie, przedstawiciele patrycjatu i mieszkającej w mieście szlachty. Monarsze w asyście oddziału gwardii konnej towarzyszył zwyczajowo marszałek nadworny, kanclerz, referendarz, sekretarz królewski, urzędnicy dworscy, dworzanie i słudzy, ponadto urzędnicy państwowi, senatorowie, duchowni, często także magnaci i szlachta. Nie chcąc opuścić tak niecodziennego spektaklu na trasie kawalkady powozów i jeźdźców gromadziła się cała miasteczkowa społeczność: m.in. rzemieślnicy, drobni kupcy oraz plebs. Tradycyjnie ostatni odcinek drogi król pokonywał pieszo, oczekiwany przed główną bramą przez władze klasztoru.

Do cudownego obrazu pielgrzymowali - zwykle kilka razy - niemal wszyscy polscy monarchowie, często z rodzinami. Mieszczanom częstochowskim wielokrotnie fundowano barwny i pełen przepychu spektakl, jakim były królewskie entrady na Jasną Górę. W klasztorze przebywał Kazimierz Jagiellończyk i jego następcy z dynastii Jagiellonów Zygmunt I Stary, który w roku 1506 potwierdził nadane wcześniej miastu przywileje na targ w każdy poniedziałek oraz jarmark. Przyjeżdżali Wazowie, Zygmunt III oraz jego dwaj synowie: Władysław IV i Jan Kazimierz. Przyjeżdżał Michał Korybut Wiśniowiecki i Jan III Sobieski. Król Jan Kazimierz wziął udział w obrzędach sejmiku koronnego zwołanego w klasztorze w roku 1658 i w posiedzeniu senatu w 1661.

W 1670 roku przed cudownym obrazem odbył się ślub króla Michała Korybuta Wiśniowieckiego z arcy-



Adrian M. Głębocki „Przybycie kompanii na Jasną Górę”
(źródło: www.czestochowa.um.gov.pl)

księżniczką Eleonorą Habsburżanką, na który zjechały najważniejsze osobistości z Polski i z Austrii. Królowa Marysienka, gościła w klasztorze wraz z mężem Janem III Sobieskim i dziećmi w roku 1683. W 1744 roku w klasztorze przebywał August III Sas z żoną Marią Józefiną. Były to ostatnie w XVIII stuleciu odwiedziny polskiego króla w Częstochowie i ostatni uroczysty wjazd orszaku królewskiego na Jasną Górę.

W 1815 roku Częstochowę włączono do Królestwa Polskiego, zwanym także Kongresowym, pod panowaniem rosyjskim. Królestwo uzyskało od cara Aleksandra I dość dużą autonomię dzięki nadaniu mu własnej konstytucji i administracji. Zaczął się rozwój przemysłu i handlu oraz odbudowa i modernizacja miast i miasteczek zniszczonych lub podupadłych w czasie wojen. Poszerzano i prostowano dawne ulice, przebijano nowe, zakładano place, wytyczano reprezentacyjne arterie komunikacyjne, przy których sytuowano najważniejsze budowle użyteczności publicznej. Na zlecenie Komisji Rządowej Spraw Wewnętrznych i Policji dla potrzeb ośrodków miejskich opracowano

wzorcowe projekty m.in. szpitali, ratuszy, trybunałów, urzędów i stacji pocztowych, szkół, odwachów, karczm, domów zajezdnych. Wznoszono je najczęściej w „urzędowym” stylu klasycystycznym.

W Częstochowie modernizację układu urbanistycznego - architektonicznego rozpoczęto od zaprojektowania ulicy biegnącej w kierunku Jasnej Góry. Miało to związek z planowanym połączeniem obu ośrodków w jedno miasto, co oficjalnie nastąpiło w 1826 roku. Główną ulicę wytyczono na osi kościoła św. Zygmunta i wieży jasnogórskiej. Tę szeroką, nowoczesną arterię komunikacyjną, która uzyskała charakter reprezentacyjnej alei ze spacerowym chodnikiem pośrodku i szpalierem drzew, nazwano ulicą Panny Marii. Wzdłuż ulicy wyznaczono działki budowlane. Założono także trzy nowe place: Nowy Rynek przed kościołem św. Zygmunta, Plac św. Jakuba - mniej więcej w połowie ulicy Panny Marii oraz Rynek Jasnogórski - przed klasztorem. W południowej pierzei Placu św. Jakuba, naprzeciw kościoła z wieku XVII od którego plac dostał nazwę, w latach 1828 -1835 wzniesiono ratusz, za-

projektowany przez pochodzącego z Bawarii Franciszka Reinsteina, budowniczego województwa kaliskiego, w granicach którego leżała wówczas Częstochowa. Był to niewielki, piętrowy budynek na planie kwadratu z wieżą pośrodku, nawiązujący w swej formie do wczesnego renesansu włoskiego. Budynek ratusza jest w Częstochowie jedną z najwcześniejszych budowli odwołujących się do stylów historycznych. Przy ulicy Panny Marii w latach 1835-1838 według projektu jednego z najślawniejszych architektów Królestwa, pochodzącego z Włoch Henryka Marconiego zbudowano w oficjalnym stylu klasycystycznym nowy szpital miejski. (Przestał on istnieć w latach siedemdziesiątych XX wieku, a na jego miejscu stanął dom handlowy Merkury.)

Równocześnie z ulicą Panny Marii, w południowej pierzei placu jasnogórskiego założono ulicę Siedem Kamienic, poza tym uregulowano i poszerzono ulicę Św. Barbary i Wieluńską oraz Rynek Wieluński. Ta część miasta nastawiona była przede wszystkim na obsługę pielgrzymów. Tutaj znajdowała się większość sklepów i straganów z dewocjonaliami

i szynki, których w latach osiemdziesiątych w mieście naliczono ponad 130. Codzienne życie mieszczańskie koncentrowało się w obrębie Starego Miasta, Nowego Rynku, ulicy Panny Marii i nowych arterii.

Przy ulicy Dojazd (obecnie Piłsudskiego) w latach 1845 – 1846 zbudowano dworzec kolejowy, którego projekt być może powstał w pracowni Henryka Marconiego, budowniczego rozległego neorenesansowego dworca w Warszawie. Budynek w Częstochowie, także z cechami stylu renesansowego (rozebrany w latach siedemdziesiątych XX w.), o niższej co prawda skali artystycznej, został zaprojektowany według tej samej koncepcji ideowej, co warszawski, kształtem sugerując lokomotywę. Mieściły się w nim pokoje gościnne oraz restauracja. W obrębie dworca istniał ogród, tzw. Foksal, którego drzewostan, kilka razy rekultywowany, częściowo zachował się do dziś. Po północnej stronie Alei znajdował się tzw. bulwar kolejowy, posiadający charakter spacerowy.

Otwarcie stacji 17 listopada 1846 r. było jednym z najważniejszych wydarzeń w Częstochowie w pierwszej połowie XIX wieku. Do Częstochowy przyjechał namiestnik Królestwa książę Iwan Paskiewicz z asyście urzędników, których podjęto obiadem. Na cześć namiestnika dworzec, Foksal, ulica Panny Marii, a także wieża jasnogórska zostały bogato iluminowane, ku uciesze oglądających te uroczystości tłumów. Stacja została rozbudowana w roku 1873.

Naprzeciw dworca powstał zajazd należący do Leszczyńskiego, a około 1860 roku na jego miejscu wystawiono Hotel Angielski, który obok tańszych numerów posiadał też eleganckie apartamenty oraz reprezentacyjną salę restauracyjną, w której często urządzano bale. Po roku 1870 właścicielem hotelu został Julian Fuchs, częstochowski przemysłowiec, kupiec, filantrop i mecenas, zmarły w roku 1894.

W Częstochowie nad torami kolejowymi, które przecinały ulicę Marii Panny, przed rokiem 1860 zbudowano drewniany most. W ten sposób powstało tu pierwsze w Królestwie (przed Warszawą i Dąbrową Górniczą) dwupoziomowe skrzyżowanie drogi żelaznej z ulicą.

Powstanie nowej dzielnicy zmieniło wizerunek, charakter i znaczenie miasta. W związku z rozwojem zakładów manufakturowych, przemysłowych i handlowych przybywało mieszkańców, w większości przyjezdnych. W latach dwudziestych XIX stulecia było około 6000 mieszkańców, w połowie wieku liczba ta się podwoiła, według wykazu z roku 1889 w mieście żyło 31468 osób, w 1895 – 34105; w roku 1900 ludności było już około 48000.

W roku 1867 władze carskie wyraziły zgodę Resursy Obywatelskiej (Miejskiej), w 1871 Ochotniczej Straży Pożarnej, a następnie Częstochowskiej Dobroczynności Powszechnej. W Resursie i Towarzystwie Dobroczynności spotykali się mieszczańscy należący do elity finansowej, w straży ogniowej działała inteligencja i rzemieślnicy. W siedzibie Resursy odbywały się koncerty, np. koncert wokalnoklasyfikacyjny primadonny warszawskiego teatru Bronisławy Dowiakowskiej ze współudziałem artystki dramatycznej p. Lüde i Maksymiliana Makowskiego, a także bale, zabawy, z których dochody przeznaczano na cele charytatywne dobroczynne. W 1895 w każdy poniedziałek dla zainteresowanych odbywały się prelekcje i odczyty z różnych dziedzin. Tym sposobem ich inicjatorzy postanowili odwiedzić stałych gości resursy od zakorzenionego tutaj „wintowania” i gorszego jeszcze „mauszlowania”.

Średniozamożni rzemieślnicy i kupcy zwykle od pokoleń posiadali niewielkie nieruchomości przy Starym Rynku, lub blisko niego. Część starego miasta i okolicę ulicy Warszawskiej zajmowali Żydzi, tworzący własną odrębną kulturę i zwyczaje

je towarzyskie. Biedota gnieździła się w wynajętych izbach. Odrębną grupę stanowili również rosyjscy urzędnicy. Burżuazja - handlowcy, przedsiębiorcy, fabrykanci, finansisci - budowali domy dla siebie i na wynajem. Pierwsze kamienice powstały wokół Nowego Rynku, z każdą dekadą zabudowywano coraz więcej działek przy ulicy Panny Marii. W pierwszej połowie XIX wieku były to jednopiętrowe lub rzadziej dwupiętrowe kamieniczki, o klasycystycznych elewacjach, z magazynami, biurami, sklepami na parterze i mieszkaniami na wyższych kondygnacjach, z oficynami wokół podwórek. W drugiej połowie stulecia, zwłaszcza w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, kiedy w mieście rozpoczął się prawdziwy boom budowlany pojawiły się wielkomiejskie, reprezentacyjne kamienice czynszowe z luksusowymi apartamentami, wynajmowane przez elity finansowe. Do końca XIX wieku zabudowano prawie całą II Aleję i większość parceli w III Alei. Coraz więcej kamienic nieruchomości budowano przy ulicy Teatralnej (obecna Kościuszki i Wolności) Dojazd (dziś Piłsudskiego), Mikołajewskiej (Katedralna), Ogrodowej, Cerkiewnej (Kilińskiego), Szkolnej (Dąbrowskiego) oraz przy ulicy Siedem Kamienic czy Wieluńskiej. Tylko w roku 1895 przybyło miastu co najmniej 15 gmachów mieszkalnych. Powstawały budynki użyteczności publicznej, m.in. kościół i klasztor siostr Mariawitek przy Alei Panny Marii w roku 1862, według projektu warszawskiego architekta Antoniego Kaliszewskiego (w budynku klasztornym od roku 1873 mieściło się gimnazjum rządowe), w roku 1872 cerkiew prawosławna (na miejscu dawnego kościoła szpitalnego z XVIII wieku pod wezwaniem św. Jakuba) oraz dom duchowieństwa prawosławnego z roku 1875 przy Alei NMP 47, tzw. Popówka (obecnie siedziba Muzeum Częstochowskiego), Bank Handlowy przy ulicy Dojazd ukoń-

zony w roku 1897, zaprojektowany przez Tadeusza Fijałowskiego.

W drugiej połowie wieku powiększyła się grupa inteligencji urzędniczej oraz należącej do tzw. wolnych zawodów: lekarzy, felczarów, księgarzy, aptekarzy, rejentów, obrońców sądowych, drukarzy, architektów (budowniczych), prywatnych nauczycieli, artystów. Inteligencja, najczęściej pochodzenia szlacheckiego, żyła według własnych zasad i wartości, przykładając dużą wagę do wykształcenia i szeroko pojętej kultury dotyczącej nie tylko znajomości literatury, sztuki, muzyki, teatru, ale również norm towarzyskich, mody i podróży. Dużą wagę przykładano do urzędowania mieszkań, o których decydowała moda docierająca głównie z Warszawy. Od lat dwudziestych do sześćdziesiątych XIX wieku w meblarstwie panował styl biedermeier charakteryzujący się prostotą, elegancją i zarazem funkcjonalnością, w ostatnim ćwierćwieczu modne były style historyczne.

W domach, w których bardzo ważną rolę pełnił salon, urządowano wesela, prośzone obiady, wieczorki taneczne i zabawy karnawałowe, te zwyczajowo z wodzirejem, przy akompaniamencie pianina, później patefonu. Organizowano koncerty muzyczne i śpiewacze, żywe obrazy, loterie fantowe, panowie grali w karty. Panie domu umawiały się z przyjaciółkami na bardziej kameralne spotkania, podczas których rozmawiano m.in. o wychowaniu dzieci, o chorobach, o modzie, o cenach produktów spożywczych, o kucharkach i służbie, omawiano miejscowe wydarzenia i plotkowano o znajomych. Ustalono normy dotyczące uroczystości pogrzebowych. Żałoba, której przestrzegano przez okrągły rok, narzucała odpowiedni ubiór i organizowała sposób życia domowników.

Bogaczące się drobne mieszczaństwo, rzemieślnicy, kupcy, wzorem miejskiej inteligencji przywiązywali

coraz większą wagę do poziomu życia. W miarę ambicji i możliwości finansowych starali się naśladować jej sposób życia i towarzyskie maniere. Dla wszystkich grup społecznych ważnym wydarzeniem był rozpoczynający się późną wiosną sezon pielgrzymek. Mające wielowiekową tradycję witanie grup pątników stało się lokalnym obyczajem o charakterze towarzyskim, swego rodzaju rozrywką rozrywką. Wizerunki częstochowskich mieszczan przyglądających się pielgrzymom utrwalił na obrazie *Przybycie kompanii na Jasną Górę w Częstochowie* z roku 1868 artysta malarz Adrian Głębocki, od roku 1863 nauczyciel rysunku i kaligrafii w tutejszym gimnazjum. Przedstawione na obrazie damy i panowie z tzw. towarzystwa, wyróżniający się modnymi strojami, przechadzają się na placu pod klasztorem pośród grup pielgrzymów. Kobiety mają na sobie suknie z krynoliną i nakrycia głowy typowe dla okresu *biedermeier*, tzw. budki, mężczyźni natomiast noszą surduty i cylindry.

Przemarsz kolorowo ubranych, śpiewających i rozmodlonych pielgrzymów, niosących krzyże, chorągwie kościelne i święte obrazy, za którymi jechały ukwiecone wozy, był bardzo widowiskowy. W wydawnym w roku 1893 „Przewodniku po Częstochowie” Feliks Romanowski pisał: *Dość, że przyplływ i odpływ pątników porywa wszystkie warstwy społeczne, pomimo odrębności przekonań religijnych, i niejako pociąga za sobą, którzy powinni się już z tem oswoić. Nawet na służących różnego wyznania oddziaływają przechodzące kompanie; zawsze bowiem na te processy wychodzą popatrzeć przed się nawet najpilniejsze kucharki, pozostawiając na kominie kipiące mleko. Nieraz bowiem przez zapomnienie spostrzeżenie starozakonnego uchylającego czapkę przed kompanii.*

Dni świąteczne, niedzielne nabożeństwa i okazjonalne uroczystości religijne były znakomitą okazją by pokazać się z całą rodziną w cen-

trum miasta i zademonstrować swój status majątkowy. Paniom z towarzystwa wypadało uczestniczyć w tradycyjnych kwestach na rzecz ubogich organizowanych w kościołach w Wielką Sobotę. Miejscowym obyczajem stały się spacery Alejami Panny Marii bądź po parku miejskim, uporządkowanym na uroczystości związane z pięćsetną rocznicą sprowadzenia cudownego obrazu na Jasną Górę. Park ten po 1882 roku został ogrodzony żywopłotem. Częstochowski korespondent wychodzącego w Piotrkowie Trybunalskim czasopisma „Tydzień” w lipcu 1882 donosił w tonie mocno uszczypliwym: *Niedziela. Wyszedłem na aleje szukać wrażeń. Tłumy spacerujących, upał wielki... Pod wieczór... plebs rusza na pastewnik „pokaruzelować się troszeczkę”... Patrycjuszowi wtedy zalegają aleje, a ich postacie... znanie z żurnali. Wszystko to wycięte z papieru, sztywne, nadęte.*

Zwyczaj afiszowania się w Alejach opisuje wspomniany wyżej Feliks Romanowski: *Naprawdę życie zbiorowe wszystkich warstw tutejszych ukazuje się w pełni tylko na odkrytym powietrzu, to jest: w alejach ciągnących się przez całe miasto, długości przeszło wiorstę mające. Można tu spotkać osoby z nastroszonymi w domu minami przed lustrem; stosownie do zasobów finansowych i zewnętrznych strojów. Jest to tak zwany zbiornik popisów tualet, przede wszystkim z ostatniej mody, które się wzajemnie ocierają o siebie. Defilada ta, nie mając innego deptaku, odbywa się rano od 10 godziny i przeciąga prawie do północy, nieraz wśród duszącego kurzu.*

Z czasem życie towarzyskie przeniosło się do lokali publicznych. W dobrym tonie były spotkania w cukierniach i restauracjach. Robotnicy i rzemieślnicy zaludniali szynki. W latach osiemdziesiątych były czynne 3 cukiernie, 9 restauracji i około 130 szynków. Częstochowianie odwiedzali też letnią restaurację w ogrodzie Wolbergów na terenie

posesji za ich kamienicą przy Alei 12, gdzie dawano też koncerty. Zimą uprawiano jazdę na lodzie; ślizgawkę urządzono np. w ogrodzie Getra, na miejscu można było wypożyczyć łyżwy i fotele na płozach, do zabawy przygrywała orkiestra.

Miejscem bardziej elitarnych spotkań towarzyskich był teatr, bardzo chętnie odwiedzany przez wyższe i średnie warstwy mieszczańskie, zwłaszcza kiedy w roku 1871 przy ul. Panny Marii (obok szpitala miejskiego), Teofil Zapalkiewicz, według projektu Aleksandra Lühe, wybudował w celach dochodowych piętrowy, o późnoklasykystycznej fasadzie budynek z widownią na górze, zwany Teatrem Miejsowym (obecnie Bank PKO, II Aleja 19). Sala widowiskowa wynajmowana przez zespoły dramatyczne i muzyczne często odwiedzające Częstochowę, posiadała dodatkowe miejsca na galerii oraz profesjonalnie urządzone kulisy i ochronę przeciwpożarową. Salę wynajmowano również na maskara-

dy organizowane dla miejscowego towarzystwa, przygotowywane niekiedy przez reżyserów teatralnych, np. B. Mareckiego, który w 1902 zorganizował dwa spektakle.

Do czasu wybudowania nowego teatru, trupy dramatyczne występowały w teatrze letnim, czyli tzw. budzie, drewnianym budynku przy ulicy Teatralnej, od którego ulica wzięła nazwę; niektóre zespoły grały tam nadal, płacąc mniej za wynajem. Teatr Miejsowy przy ulicy Panny Marii z powodu złego stanu technicznego w roku 1908 został zamknięty. Do otwarcia kolejnej sali teatralnej, „z uwzględnieniem wszechstronnych a odpowiednich wymóg”, we własnej trzypiętrowej, neobarokowej kamienicy przy II Alei 35, zbudowanej w roku 1900, przymerzał się częstochowski bankier Markus Gradstein.

W roku 1882 w teatrze miała miejsce impreza nie mająca nic wspólnego ze sztuką. Widowisko Częstochowianie oglądali w sierp-

niu, kiedy to ...*przyjechała trupa dramatyczno-ekwilibrystyczno-akrobatyczna, reprezentowana przez małpy, alias, jak afisz opiewa, przez „czworonożnych artystów” i rozsiadła się w miejscowym teatrze... czy wybór miejsca jest odpowiedni?* – pytał częstochowski korespondent Tygodnia Piotrkowskiego.

W Teatrze Miejskim występowało wiele przyjezdnych trup teatralnych. Na spektaklach, zwłaszcza przygotowanych przez znane zespoły dramatyczne wypadło się pokazać. W latach osiemdziesiątych gościły w Częstochowie m.in. towarzystwa dramatyczne Józefa Puchniewskiego, dyrektora i reżysera Władysława Szymanowskiego z Warszawy, Kocłackowskiego, dyrektora L. Kościelickiego z Łodzi. W ostatniej dekadzie występowało m.in. Towarzystwo Artystów Dramatycznych pod dyrekcją Józefa Cybulskiego, przez kilka tygodni trupa Feliksa Ratajkiewicza; 25 lutego 1896 dała spektakl Gabriela Zapolska. W roku 1899 przy nabitej

sali teatr pod dyrekcją E. Mojdorowicza dał jedno przedstawienie „Dam i huzarów” A. Fredry oraz utwór Danielewskiego „Rok 997” na rzecz budowy stacji Męki Pańskiej na Jasnej Górze. W sezonie zimowym w roku 1900 do Częstochowy przyjechało towarzystwo dramatyczno-operetkowe B. Mareckiego liczące 40 osób, z reżyserem J. Szymborskim i dyrektorem operetki J. Lasockim.

Do bardzo szerokiej publiczności skierowane były pokazy cyrkowe, np. D. Ferroniego, który w 1882 r. przyjechał do Częstochowy „ze swemi linochodami, akrobatami itp. stworzeniami; rynek pełen gawiedzi, nawet i tej porządnej, świadczył wymownie o protegowaniu sztuk... ulicznych i wyrobionym guście częstochowiaków”. W roku 1894 na bulwarze przy rogu Ogrodowej i Krakowskiej stanął cyrk „godny zaledwie produkować się po podwórkach”, w 1895 i 1900 występował słynny cyrk Charina, a w 1902 p.n. Trozerpi i Bielajski specjalizujący się w tresurze koni i innych zwierząt.

Ogromnym zainteresowaniem cieszyła się, podobnie jak w innych miastach, jazda na bicyklach. Na częstochowskim cykłodromie, który znajdował się przy końcu ulicy Teatralnej (Kościuszki) spotykały się osoby z różnych grup społecznych. Od początku lat dziewięćdziesiątych odbywały się tam wyścigi cyklistów miejscowych i przyjezdnych, nagradzane medalami i wartościowymi przedmiotami. Na placu organizowano też zabawy taneczne i popisy sportowe, np. tzw. rekordy kręglowe, przez jakiś czas w roku 1894 występowała orkiestra włościańska Pilcha. W roku 1898 sportowcy przygotowali projekt Ustawy Towarzystwa

Cyklistów Częstochowskich, który przedstawiono miejscowej władzy gubernialnej. Około roku 1900 na miejscu cykłodromu zbudowano fabrykę odlewów żelaznych. Tor do jazdy na bicyklach powstał też przy ulicy Szkolnej. Na początku wieku XX modne stało się uprawianie innych sportów, m.in. gimnastyki.

Towarzystwo Dobroczyńców organizując corocznie kwesty w Wielkim Tygodniu w kościele parafialnym i na Jasnej Górze, zebrane fundusze przeznaczało zwykle na ochronki. W tym celu urządzało też bazary, bale i zabawy, latem tzw. kwiatowe, zimą na lodzie. Fundusze pozyskiwano również rozprawdzając bilety na organizowane przedstawienia teatralne i koncerty, a także sprzedając książki wydawane przez Radę Opiekuńczą.

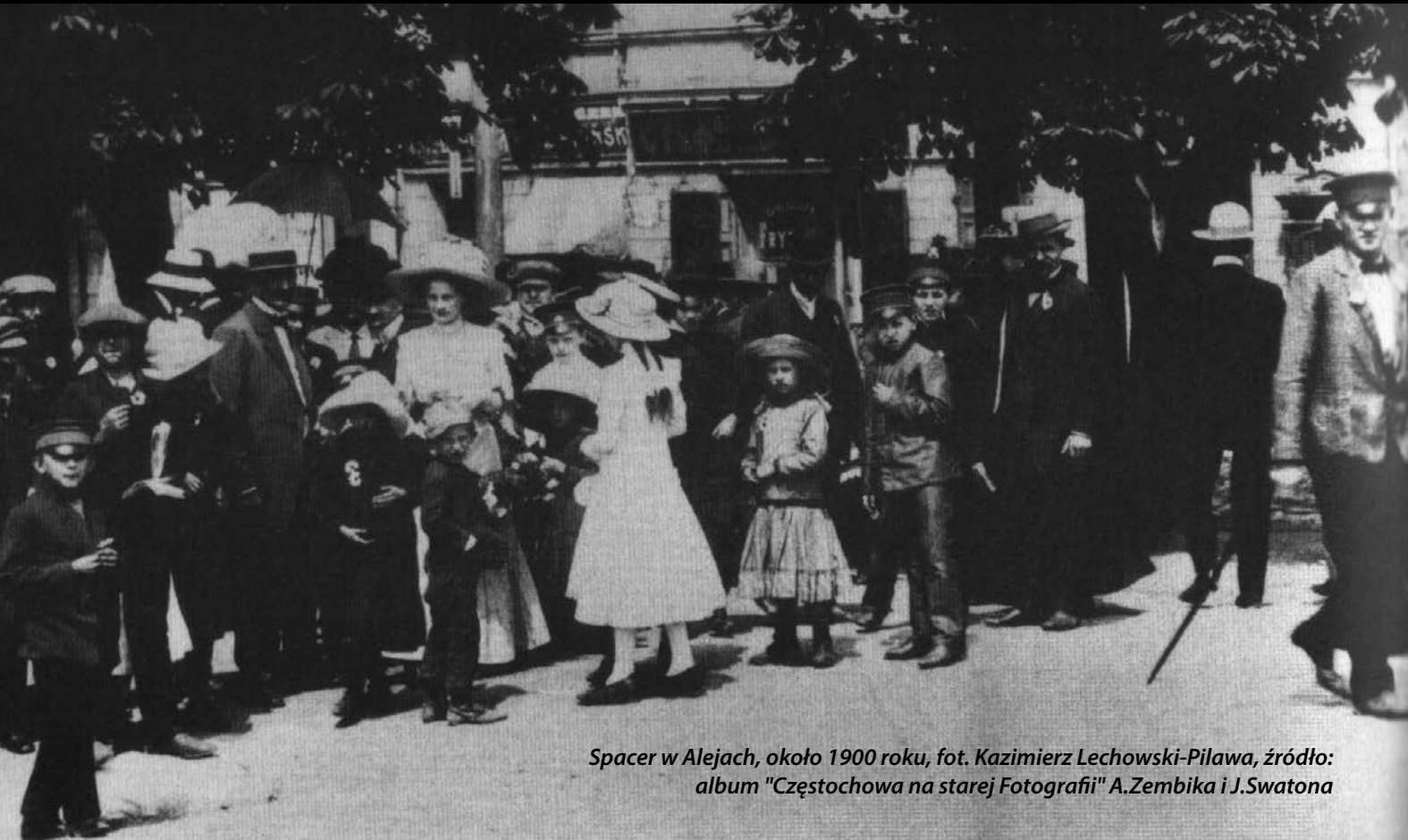
Cieszące się niezmiennym powodzeniem zabawy taneczne, bale i maskarady, zwłaszcza w karnawale, organizowały różne środowiska. Jak pisał F. Romanowski: *Bale obywatelskie z powodu wygodnego lokalu hotelu angielskiego raz do roku w karnawale urządza szlachta wiejska, zapraszając się wzajemnie i wyróżniając między sobą, co do starożytności herbów, bynajmniej nie zasług osobistych. Naprzód narobią wiele hałasu o tej nadzwyczajności – i z hałasem się rozjeżdżają do domów.* W pięknej sali Hotelu Angielskiego na balach kostiumowych, na tzw. balach panieńskich wydawanych w celach dobroczynnych, czy na balach obywatelskich urządzanych przez resursę miejską, bawiła się miejscowa śmietanka towarzyska.

W mieście działały chóry parafialne, towarzystwa śpiewacze i amatorskie zespoły dramatyczne, m.in. grono rzemieślnicze, którym w la-

tach dziewięćdziesiątych opiekował się aktor i reżyser Józef Cybulski. Wydarzeniem roku, długo komentowanym, były przedstawienia teatru amatorskiego z udziałem inteligencji, z których dochód przeznaczano na dobroczynność, np. na korzyść biednych uczniów gimnazjum. W roku 1898 Bronisław Grabowski, literat i nauczyciel częstochowskiego gimnazjum wystawił w teatrze sztukę ludową „Nastusia”.

W Częstochowie dzięki Julianowi Fuchsowi zorganizowano dwie wystawy malarstwa. W 1882 w jego domu własnym przy ul. Panny Marii 7 pokazano obrazy wypożyczone od częstochowskich kolekcjonerów. W 1889 Fuchs udostępnił wnętrza swojego Hotelu Angielskiego wystawie przygotowanej przez Salon Artystyczny z Warszawy założony przez spółkę Artystyczną Malarzy Rzeźbiarzy i Budowniczych.

Mocnym akcentem w życiu kulturalnym i towarzyskim kończącym XIX stulecie stała się ekspozycja namalowanej przez Stanisława Radziejewskiego, Antoniego Piotrowskiego i Ludwika Bollera *Panoramy Golgota (Ukrzyżowanie Chrystusa)* prezentowana ja w specjalnej rotundzie przy końcu III Alei, a zaprojektowanej przez warszawskiego architekta Karola Kozłowskiego dla przedsiębiorcy Henryka Lgockiego. W jej otwarciu 22 lipca 1896 roku brali udział artyści, literaci i mieszkańcy Częstochowy. Trzy lata później w rotundzie wystawiono dioramę warszawskiego malarza Józefa Ryszkiewicza *Oblężenie Jasnejgóry*. Oba te wydarzenia dzięki przebywającym do sanktuarium rzeszy pielgrzymów z całej Polski zyskały rozgłos w całym kraju.



Spacer w Alejach, około 1900 roku, fot. Kazimierz Lechowski-Pilawa, źródło: album "Częstochowa na starej Fotografii" A.Zembika i J.Swatona

Przestrzeń! Ratunku! Pomocy!

Agnieszka Batorek

Obcujemy z pięknem w galeriach sztuki, w kinie, wyjeżdżamy do odległych krajów, by podziwiać imponującą architekturę obcych miast. Potem wracamy do naszej polskiej rzeczywistości i dziwimy się, że tak tu brzydko, nieciekawie, choć pstrokato. Nauczaliśmy się na codzien nie dostrzegać tysięcy reklam oblepiających nasze miasta, plakatów, ulotek, sztyldów, billboardów, neonów, ekranów LED oraz wszelkiej maści nośników przysyłających zabytkowe elewacje, ciekawą architekturę, a nawet miejską zieleń (ogłoszenia przyklejane na drzewach, czy baner na żywopłocie, to u nas nic niezwykłego). Tymczasem one osaczają nas ze wszystkich stron coraz drapieżniej, jakby reklamodawcy cierpieli na swoistą odmianę *horror vacui*.

Każdy element przestrzeni miejskiej stać się może powierzchnią reklamową, nie istnieją już obiekty mało atrakcyjne, nie ma też świętości. Ulotkę czy wlepkę można umieścić nawet na kontenerze na śmieci, zaś gigantyczny baner może miesiącami wisieć na rusztowaniach zasłaniających cenny zabytek, rzekomo w trakcie remontu. Znane są przypadki przeciągania prac remontowych w nieskończoność, byle przedłużyć możliwość zarobkowania na powstałych w ich efekcie atrakcyjnych powierzchniach reklamowych. Autentyczne piękno niszczy pod rusztowaniami, z których straszą przechodniów coraz bardziej krzykliwe i kiczowate przekazy reklamowe. Właściwie przestrzeni publicznej już nie ma, jest skomercjalizowana totalnie.

Z inicjatywy Elżbiety Idczak - Łydzby, pełnomocnika Prezydenta Częstochowy ds Estetyki Miasta, na początku maja w Sali Sesyjnej Urzędu Miasta Częstochowy odbyło się spotkanie pod hasłem „Przestrzeń publiczna (nie)estetyczna”. W pierwszej części konferencji mieli okazję wypowiedzieć się przedstawiciele częstochowskiej administracji (Miejskiej Pracowni Urbanistyczno-Planistycznej, Wydziału Rozwoju Miasta), którzy niezwykle obrazowo nakreślili liczne przeszkody (głównie natury prawnej) piętrzące się przed nimi na drodze do upiększania naszego miasta oraz Maciej Piwowarczyk (SARP) w charakterze reprezentanta środowiska lokalnych architektów, który z przedmówcami się nie zgodził, sugerując zwykłą nieudolność w egzekwowaniu przepisów prawa.

Najciekawszym punktem spotkania była prezentacja gości ze stolicy, Elżbiety Dymnej i Marcina Rutkiewicza ze Stowarzyszenia *MojeMiastoAwNim.pl*, autorów albumu „Polski Outdoor”. Nie tylko ścigają i piętnują oni przypadki oszpecania przestrzeni publicznej reklamami (zwłaszcza tymi umieszczanymi nielegalnie), ale również lobują za uchwaleniem jednolitej ustawy o estetyce przestrzeni publicznej, która rozwiązałaby problem niejasnych regulacji prawnych w tym zakresie. Determinacja, zaangażowanie i wiara w możliwość pozytywnej zmiany prezentowana przez członków Stowarzyszenia wyraźnie kontrastowały z postawą rezygnacji i bezsilności gospodarzy spotkania.

Następne w kolejności wystąpienie dr Jacka Sztuki z Politechniki Częstochowskiej, który przedstawił przykłady estetycznego wkomponowania reklamy w architekturę u naszych sąsiadów z Unii Europejskiej,

pokazało, że rzeczywiście można to robić z głową. W tym kontekście co najmniej skromnie wypadł punkt programu, w którym pani pełnomocnik zdecydowała się pochwalić lokalnymi sukcesami w tym zakresie. Naliczyłam ich aż... dwa, choć opisywane były długo i barwnie. Chodziło mianowicie o dwa zrealizowane remonty elewacji budynków przy ul. Szymanowskiego 1 i przy Al. NMP 24 w/g projektów autorstwa Anety Chrząstek-Szyc i Roberta Szycy, gdzie uwzględniono estetyczny sposób prezentowania reklam.

Spotkanie zwińczyła prezentacja twórczości grupy *Monstfur*, dwóch częstochowskich artystów, którzy specjalizują się w wykonywaniu graffiti metodą szablonu. Artystów z sukcesami, rozpoznawalnym stylem, autorów m.in. słynnej „kładka-gallery” (kładka nad torami na przedłużeniu ul. 1 Maja), gdzie można obejrzyć 33 obrazy wkomponowane w miejski pejzaż. Graffitiarze zaproszeni zostali na konferencję w charakterze przykładu „dobrych działań” w przestrzeni publicznej, co mnie osobiście absolutnie zdumiało. Nie dlatego, że kwestionuję wartość monstfurowych działań. Sztuka uliczna nie zamaskuje jednak szpetoty kolejnych makabryl pojawiających się na terenie naszego miasta (najnowszą podziwiać można *vis-à-vis* remontowanej właśnie Filharmonii). Nie wygra też z panoszącym się wszędzie reklamowym kiczem. Nie miałabym nic przeciwko temu, żeby wszystkie częstochowskie kontenery na śmieci wyglądały jak te małe dzieła sztuki na zdjęciu po prawej, ale nawet Van Gogh na ścianie niewiele pomoże, gdy w mieszkaniu panuje bałagan. Na kolejnym spotkaniu w Urzędzie Miasta, jeżeli takowe nastąpi, wolałabym zobaczyć prezentację szeroko zakrojonych dobrych działań lokalnej administracji.

7. Noc Kulturalna Fantastyczne światy

- prace grupy *Monstfur*
wykonane podczas akcji przed
Miejską Galerią Sztuki

fot. Wojciech Barczyński



Monstfur



Jacek Pałucha
„Tata musi już lecieć”
akryl, płótno

ALEJE3